

Pisze się!
Agnieszka Szyk



Kreatywne
pisanie

część siódma



Teksty napisane przez
uczestniczki czwartej edycji
kursu

Odnaleźć siebie
Kreatywne pisanie dla
kobiet w czasie zmiany

Tatiana Zimmermann

Monika Barcicka

Marlena Wieland

12 marca - 4 czerwca 2024 r.

Wstęp

Kiedy wiosną zapraszałam do udziału w kursie *Odnaleźć siebie*, nie miałam pojęcia, że razem z uczestniczkami wykreujemy tak magiczną przestrzeń. Każda edycja kursu kreatywnego pisania jest inna, ale za każdym razem zaskakuje mnie, w jakie jakości i krainy wyruszamy.

Tym razem stworzyłyśmy coś na kształt baśni, miejsca przyjemnego, rajskiej krainy, w której pomimo tego, że podróżowałyśmy w głąb siebie przy pomocy słów, to czasem rozumiałyśmy się bez ich użycia. Czwarte edycja kursu kreatywnego pisania była dla mnie bezpieczną przystanią, odnową, ale przede wszystkim piękną baśnią, w której można było napić się ze źródła.

Z ogromną przyjemnością oddaję Wam trzy teksty. Uczestniczki naszej niezwyklej podróży zdecydowały się podzielić swoimi opowieściami. Tatiana Zimmermann i Marlena Wieland opisały sceny z życia swoich bohaterek. To luźne fragmenty, które można czytać zarówno razem, jak i osobno. Łączą je wykreowane przez autorki nietuzinkowe bohaterki. Opowieść Moniki Barcickiej jest również historią oryginalnej kobiety, ale tekst jest zapisem zdarzeń z jednego etapu życia postaci.

Tatiana Zimmermann zabrała swoją bohaterkę na bezludną wyspę, gdzie ta odnalazła spokój i niezbędny dystans, aby przyjrzeć się swojemu życiu. Kąpiele w morzu, cudowna roślinność i niezwykła wrażliwość bohaterki, czyni tę opowieść pełną ukojenia, pocieszenia i spokoju.

Marlena Wieland opowiedziała historię Zosi, kobiety mierzącej się z życiowymi trudnościami, dla której nie ma sytuacji bez wyjścia. Siła, determinacja i umiejętność odradzania się bohaterki powodują, że odnajdujemy w tej historii nadzieję i wiarę w sens wszystkiego, co nas spotyka.

Monika Barcicka stworzyła postać Joanny, młodej, wrażliwej i niezwykle przenikliwej kobiety, tej, która nie zapomniała o swojej dzikiej naturze. Joanna żyje w bliskości z przyrodą, potrafi przyrządzać magiczne eliksiry, nawiązuje kontakt ze zwierzętami i jest wolną dziewczyną, która decyduje o swoim życiu w każdym momencie.

Wszystkie teksty to opowieści przekraczające granice znanej nam rzeczywistości, pomimo tego, że osadzone mocno w jej realiach. Autorki potrafią zajrzeć pod powierzchnię, zobaczyć jej piękno tego świata i jego kreacyjną moc, przypominając, że wbrew temu, co zwykliśmy uznawać w zracjonalizowanym świecie, życie jest bajką, a cuda dzieją się na naszych oczach.

Dziękuję Wam za te eliksiry życia. Gratuluję.

Z serdecznymi pozdrowieniami!

Pisze się! Agnieszka Szyk

Tatiana Zimmermann

Morze

Stoję. Stoję i patrzę. Ukochane morze wita mnie pięknymi falami jak gdyby się cieszyło z mojego powrotu. Ukłony w przód i w tył, piana, fale. Kamienie szumią i wołają, fajnie, że znowu tu jesteś, tęskniliśmy za tobą. Ściągam buty i bosymi stopami idę się przywitać. Woda obmywa i masuje moje stopy, moczy moje spodnie, a ja jak pięciolatka szaleję z zachwytu. Mój zazwyczaj spokojny głos teraz się podnosi i woła: Witaj! Jestem! Śmieję się w głos, czuję się lekka, zwiewna, młoda i piękna na tej pustej plaży Normandii. Mojej plaży.

Spacerując jej brzegiem, zaczyna się mój proces uzdrawiania.

Chodzę, a moje ciało się odpręża. Moje myśli, przewietrzone wiatrem, odzyskują swoją ostrość. Oddech się wycisza, staje się coraz bardziej regularny, coraz głębszy, a moje dotlenione płuca aż krzyczą z radości. Jestem w domu, bo tak się tutaj czuję. Wszystko jest mi tak dobrze znane. Normandia zachwyca mnie co roku. Jest dla mnie jak wyjazd nie do innego kraju, a do innego świata. Tutaj ludzie żyją inaczej. Najważniejszy jest dla nich kontakt z drugim człowiekiem. W sklepach za proszek można zapłacić czekiem, a rozmowy przy kasie należą wręcz do dobrego tonu. To tutaj zamknęto mnie podczas zwiedzania pewnego zamku w jego ogrodach, bo przyszedł czas na lunch i nikt nie sprawdził, czy wszyscy goście opuścili już zabytek. Mam wrażenie, że w tym miejscu żyje się wolniej. Moje zmęczone ciało i głowa odpoczywają właśnie tutaj najlepiej. Kilometrowe plaże sprawiają wrażenie intymnych. To właśnie w Normandii mogę spacerować godzinami, nie spotykając drugiego człowieka. Moje psy szaleją, czują się na plaży jak w raj. Wolne i niczym nieskrępowane.

Spokój, który mnie otacza, ma siłę środka uspokajającego. Przestrzeń pozwala zobaczyć więcej.

Przypływy i odpływy, wschody słońca i jego zachody, niebo skropione gwiazdami, dzień po dniu przypominają mi, że jestem częścią przepięknej całości. Oddycham. Żyję. Zbieram energię, aby pójść dalej.

Już jako młoda dziewczyna wiedziałam, że chcę uczyć, chcę pomagać, chcę zrozumieć innych ludzi, aby im pomóc, a do tego potrzebna jest energia. Aby kogoś zrozumieć, trzeba go poznać, wysłuchać, otworzyć się na jego historię. Jest to zajęcie, które wymaga dużego skupienia na drugiej osobie, empatii, wrażliwości. Kocham moją pracę, ale też nauczyłam się zauważać, kiedy to ja muszę zająć się sobą, kiedy to moje baterie wymagają doładowania.

W tym właśnie pomaga mi Normandia. Z jej lekkością, dobrobytem, innością. Otwieram się na nowe. To ja jestem wówczas tą osobą, która czerpie, która się dotlenia i dokarmia.

Powiew wiatru, bagietka zabrana nad brzeg morza i tam zjedzona smakuje jak najwykwintniejszy posiłek.

Po spacerze lampka wina i cudowny, francuski ser. Moje ciało mówi, dziękuję. Dziękuję ci, że się tak o mnie troszczysz, że mnie doceniasz.

Zbliża się wieczór. Siedzę na tarasie i czekam na gwiazdy. Wszystko w koło pomału milknie, ptaki kończą swoje koncerty, kaczki w pobliskim stawie zbierają się do snu. Robi się coraz ciemniej, coraz lepiej widać gwiazdy. I nic więcej, absolutnie nic. Właśnie teraz odczuwam moją siłę, moją spójność z naturą. Jestem jej elementem. Jedyna, wyjątkowa, taka jak te wszystkie gwiazdy na niebie.

Stoję, patrzę, rozmyślam i dziękuję sobie, że pozwalam sobie na ten moment wytchnienia. Nie egoistyczny. Dający siłę, aby po powrocie do domu mieć jeszcze więcej siły dla innych, dla tych, którzy mnie potrzebują.

Słonie fascynowały mnie od dziecka, choć wówczas nie wiedziałam jeszcze dlaczego akurat słonie. Zbierałam figurki słoni, pocztówki ze słoniami, słonie były na kubkach do herbaty. Towarzyszyły mi wszędzie. Po dziś dzień kocham te zwierzęta.

Słonie mają cudowny charakter, są bardzo socjalne, wiodą prym nie tylko w kwestii doskonałej pamięci, ale także wierności, zawiązują przyjaźnie na całe życie, wspólnie wychowują potomstwo i ratują się w potrzebie.

Słoń jest uważany za zwierzę mocy i jako zwierzę mocy uczy człowieka życia w harmonii z naturą i tworzenia relacji pełnych bliskości i miłości. Słoń umacnia w człowieku takie emocje jak współczucie, cierpliwość, życzliwość. Jest symbolem stabilności, intuicji, opieki, ochrony, wytrwałości, mądrości i spokoju, jak również sprawiedliwości i odpowiedzialności. Słoń pokazuje nam przede wszystkim naszą wewnętrzną siłę, która jest w każdym z nas. Jesteśmy cudownymi, niepowtarzalnymi, silnymi istotami. Słoń pokazuje nam, jak łączyć to, co ludzkie z tym, co boskie, pamiętając o tym, że pomoc i wsparcie potrzebujących nie jest obowiązkiem, ale duchowym pragnieniem, dzięki któremu się rozwijamy i stajemy się lepsi. Dla siebie i dla wszystkich wokół nas. Słoń uczy nas, że pomagając innym, pomagamy też sobie. Słoń jest wrażliwy i cierpliwy, a jego ogromne uszy wprost zapraszają do słuchania. Słuchania aktywnego, słuchania w celu zrozumienia i niesienia pomocy.

Chciałabym być taka jak słoń, no może bez tej wagi, i całe życie dążyć do tego. Uczę się, aby nieść pomoc. Buduję swoją wewnętrzną siłę, aby być oparciem nie tylko dla siebie, ale i dla bliskich. Słoń inspirowało mnie do bycia najlepszą wersją siebie.

Usiadłam na chwilę nad Wisłą, w miejscowości, w której się urodziłam i w której spędziłam 18 lat mojego życia. Spojrzałam wstecz. Gdzie jestem? Co działo się przez tych 35 lat mojego życia? Co mnie wspierało, a co podcinało mi skrzydła? Myślę intensywnie. Patrzę na moją mamę, na mojego tatę, ojczyma. Po kolei widzę też życie moich ciotek i wujków. Czy ktoś miał wpływ na moje życie? A jeśli tak, to kto? Przypominają mi się opowieści mamy o jej rodzicach i jej braciach. Jak ja chciałam mieć taką rodzinę jaką miał brat mojej mamy. 60 lat z tą samą kobietą. Patrzę na moich kuzynów i kuzynki. W rodzinie mamy osoby upośledzone. Czy ten fakt miał wpływ na wybór mojej drogi życiowej? Czy chęć pomocy przekazuje się w genach? Dlaczego studiowałam akurat na tym kierunku? Czy nasze życie jest z góry nam przypisane, czy sami kierujemy naszymi wyborami? Myślę, że prawda leży jak zwykle gdzieś po środku. Mamy pewne określone predyspozycje, ale to w naszych rękach jest to, jak pokierujemy własnym losem. Cieszę się, że jestem właśnie tu, gdzie jestem. Myślę, że bez wsparcia mojego rodu i bez mojej otwartości nie zaszłabym tak daleko.

Czasami spędzam urlop w Normandii z moją przyjaciółką. Bardzo różnimy się od siebie, ale też bardzo cenimy tę naszą inność. Mogę nawet powiedzieć, że uczymy się od siebie nawzajem.

Doris jest pełna pomysłów, chętnie przejmuje inicjatywę, niechętnie oddaje ster w cudze ręce, nawet jeśli jest to tylko kierownica w samochodzie.

Spacerując po plaży z naszymi psiakami, rozmawiamy o życiu. Tematy są bardzo różne. Doris pewnego dnia powiedziała do mnie:

- Wiesz, ja naprawdę się zastanawiam, po co to wszystko. Ta wieczna pogoń za wszystkim. Praca zajmuje zdecydowanie za dużo miejsca w moim życiu. Przecież mogłabym przejść na etat, rzucić tę firmę, spędzać więcej czasu na spacerach nad morzem.

- Masz rację, odpowiadam. Mam podobne refleksje. Może powinnam zmienić pracę? Bardzo ją lubię, ale jestem nią zmęczona. Zmęczona natłokiem obowiązków. Zmęczona wymaganiami i niespełnionymi oczekiwaniami.

- A życie może być przecież takie piękne. Widziałaś tę kafejkę przy morzu? Tę, w której jest zawsze tyle ludzi. W porze lunchu trudno tam zdobyć stolik. Jak fajnie jest wyjść na chwilę z pracy, zjeść coś smacznego i porozmawiać w tym czasie z przyjaciółmi.

Jesteśmy ograniczane czasem, obowiązkami, wymaganiami innych w stosunku do nas. Ile jest w tym rutyny, a ile świadomie podejmowanych decyzji?

Idziemy przed siebie a nasza ścieżka wydaje się nie mieć końca. Piasek pod stopami, słońce we włosach. Do szczęścia naprawdę niewiele potrzeba. Doris znalazła na piasku prześliczny kamień, który teraz ogrzewa jej dłonie. Uwielbia zbierać kamyki z dziurkami w środku, które można nawlec na rzemyk i nosić jak słoneczny talizman na szyi. I tego roku zabierzemy coś ze sobą do domu. Ja muszelkę, ona kamyk.

- Tak. Szkoda, że u nas tego nie ma, mówię. Ale właściwie dlaczego? Czy to my nie dajemy sobie czasu i przestrzeni na przerwę?

Dalszą część drogi pokonujemy w ciszy. Wieczorem, z lampką wina siedzimy na tarasie i obserwujemy gwiazdy.

- Wiesz, mówię do Doris, może jesteśmy tutaj po to, aby właśnie te wieczorne gwiazdy wskazały nam kierunek. Pomogły w odnalezieniu naszej drogi. Tej najlepszej dla nas.

- Pewnie tak, odpowiada Doris.

Psy zmęczone długim spacerem ułożyły się wygodnie u naszych stóp do snu. Cudowny dzień dobiega końca. Patrzymy z uśmiechem na to, co za nami i z ciekawością otwarciem na kolejny, nowy dzień. Pełne wdzięczności do siebie za to, że równie dobrze czujemy się w swoim towarzystwie, milcząc.

Wspomnienia

Otworzyłam oczy. Na dworze było już jasno. No tak, mamy wiosnę. Przeciągnęłam się leniwie w łóżku, odrzuciłam kołdrę i wstałam. Za chwilę zrobię sobie krótką gimnastykę, taką, jaką robiliśmy na zajęciach w podstawówce. Rozgrzeję ciało, ale przedtem napiję się gorącej wody. Zerkam na mojego psiaka. Obudził się, ale wie, że pani potrzebuje jeszcze trochę czasu dla siebie. Leniwie przewraca się na drugi bok i zasypia. Wokół jest pięknie, cicho, cały dom jeszcze śpi. Kocham takie poranki. Jest w nich ukryta moc. Mam czas na przemyślenia, czas dla siebie. Czuję się świetnie, a po gimnastyce jeszcze lepiej. Siadam na chwilę przy biurku, za oknem widzę wiewiórkę, która buszuje w karmniku i wyjada wszystkie nasiona słonecznika. Łuski wyrzuca za siebie. Jest tak zajęta, że nie widzi, jak się jej przyglądam. Uśmiecham się do siebie i myślę, że dzisiaj będzie piękny dzień skoro poranek pokazuje mi takie cudneńka.

Układałam w głowie plan dnia, następnie wychodzę z moją psiną na spacer. Ptaki pięknie śpiewają, sarny budzą się i patrzą w naszą stronę, słońce rozświetla wszystko wokół, jest cudownie. Idę i widzę soczystą, wiosenną zielen. Co za widok.

Nie wiem dlaczego, ale właśnie w tym momencie przypomina mi się pewna bardzo stara historia. Pamiętam, że jako mała dziewczynka uwielbiałam przyglądać się mojej mamie. Mama była bardzo ładną kobietą. Bardzo lubiła się bawić, tańczyć, często chodziła na tak zwane dansingi. Ubierała się wtedy w przepiękne sukienki, upinała włosy, malowała się. Pamiętam kolorowe stroje i buty na wysokich obcasach, w których próbowałam chodzić, gdy nikt nie patrzył. Ile w tych rytuałach było radości. Mama emanowała szczęściem. Gdy szliśmy ulicą, ludzie się za nią oglądali. Byłam bardzo dumna z mojej mamy. No cóż, moja mama była najpiękniejsza. Jak kameleon potrafiła się zmieniać. Włosy jej potrafiły zmieniać kolor i tak pomału z brunetki stawała się blondynką. Chętnie chodziła do fryzjera. Pamiętam, że był nawet taki fryzjer, który czesał ją u nas w domu. Moje koleżanki uwielbiały moją mamę. Ona nie narzekała, nie martwiła się i nie chorowała. Miała ogromne zaufanie do swoich dzieci i dzięki temu cała nasza czwórka szybko nauczyła się samodzielności. Będąc jeszcze w podstawówce, pozwalała mi odwiedzać koleżanki w innych miastach. I tak stan wojenny zaskoczył mnie w Bydgoszczy. Miałam wówczas 13 lat.

Letnie wakacje spędzałam często w Gdańsku, nad moim ukochanym morzem. Pamiętam podróże pociągiem do Gdańska. Zawsze z książką w ręku pokonywałam kilometry dzielące mnie od morza. Pamiętam jak dziś, jak czytałam „Wszystko czerwone” Joanny Chmielewskiej i płakałam ze śmiechu, nie ważąc na dziwne spojrzenia innych podróżujących. Albo jak krótko przed podróżą zachciało mi się pomalować paznokcie lakierem bezbarwnym. Była zima. Po dokonaniu zabiegów upiększających szybko pobeigłam na dworzec. Już w pociągu zajęłam swoje miejsce, ściągnęłam rękawiczki, kurtkę i zauważyłam, że moje paznokcie najwyraźniej nie zdążyły wyschnąć. Przykleiło się do nich futerko z rękawiczek. Cóż to był za widok. I znowu płakałam ze śmiechu.

To dzięki mojej mamie i mojej siostrze zarywałam noce, czytając kolejne książki, bo książek u nas w domu nigdy nie brakowało. Lubiałam wieczorne opowieści, wspólne czytanie bajek Andersena i psikusy ze strony mamy i siostry, których podałam ofiarą.

Wychowały mnie dwie silne kobiety.

Z wdzięcznością patrzę wstecz. Dzięki nim jestem właśnie taka, jaka jestem. Nie poddaję się, czuję się silna i niezależna.

Dzień dobiega końca. Jeszcze jeden spacer z psinką, jeszcze jeden moment wytchnienia na łonie natury. Wiedziałam. Wiedziałam, że dzisiaj będzie naprawdę dobry dzień.

Spotkanie

Wstała jak każdego dnia, krótko przed piątą. Na dworze było już jasno. Ptaki przepięknie śpiewały, ocean cały aż błyszczał w słońcu, pierwsze promienie słońca brały właśnie kąpiel, aby przygotować się na kolejny, słoneczny dzień. W powietrzu czuć było zapach oceanu pomieszany z wonią kwiatów i krzewów. Koty i psy spały leniwie rozłożone na tarasie, w oddali było słyhać jej przyjaciela, słonia, którego nazwała Hope. Odwiedzał ją czasami, wkładając trąbę przez okno w kuchni i domagając się poczęstunku. Mimo swojej wielkości udawało mu się za każdym razem zaskoczyć ją swoją obecnością. Poruszał się zgrabnie, w ogóle był pełen wdzięku, spokoju i dobroci. Wystarczyło spojrzeć w jego cudowne, mądre oczy, aby zapomnieć o wszystkich zmartwieniach tego świata. Cała wyspa po maleńku budziła się do życia. Miała jeszcze trzy godziny czasu dla siebie. Dzisiaj był wyjątkowy dzień.

Z niecierpliwością czekała na swojego dostawcę, nie tylko żywności, ale też informacji ze świata, no i nowych książek. Wysyłała Robertowi listę rzeczy, które były jej niezbędne do życia na odludziu. Począwszy od żywności, poprzez płótna i farby, aż do książek, które pochłaniała, nadrabiając zaległości całego życia. Dostawy odbywały się tylko raz w miesiącu, musiała więc dokładnie przemyśleć, czego potrzebuje, co jest jej niezbędne do życia. Uwielbiała swoją samotność na wyspie, ale też cieszyła się na spotkania z Robertem. Na dialog w świecie jej monologów. Popatrzyła na Hope, który przed chwilą zjawił się przed jej domem. Jak myślisz, czy Robertowi udało się załatwić wszystkie rzeczy dla mnie? Pewnie tak. Zawsze mu się udaje. Idę się wykapać, idziesz ze mną? Zbiegła z tarasu, zsunęła koszulkę z ramion i wskoczyła do wody. Boże, jakie to jest piękne uczucie, pomyślała. Mam cały ocean tylko dla siebie. Płynęła rozkoszując się temperaturą wody. Suzi, mały zaprzyjaźniony delfin, podpłynął do niej i przywitał się z nią radośnie. Po kąpeli narzuciła sukienkę na swoje jeszcze mokre ciało i usiadła na piasku. Zapatrzyła się na fale. Nagle przypomniała sobie swój pierwszy wypad pod namiot nad polskie morze. Były wakacje. Razem z przyjaciółką pożyczyły malutki, dwuosobowy namiot, kupiły jakieś mielonki, szynki i fasolki w puszkach i wyjechały do Władysławowa. Lato tego roku było cudowne. Spędzały czas na leżeniu na piasku, kąpielach i spacerach do miasta na gofra albo na herbatkę. W połowie drogi z miasta na pole biwakowe była jedna kawiarenka, w której pracował bardzo przystojny barman. Zatrzymywały się tam, aby napić się herbaty Dragon i popatrzeć na pięknego faceta. Herbata choć dobra, była tylko pretekstem. Życie było wówczas takie piękne i lekkie. Jedyne problemy miało się w szkole przed klasówką albo jak zabrakło pieniędzy na kino. Żyło się z dnia na dzień, ciesząc się każdym dniem, który, gdy był przepełniony słońcem, był dniem idealnym; deszczowy, był tragedią, bo wówczas namiot przesiąkał wodą, która z kolei moczyła wszystkie ich rzeczy. Więcej problemów nie było. Zachody słońca spędzały nad wodą, rozmyślając o tym, co będą robić w dorosłym życiu. Jakie studia wybiorą, jakich mężczyzn poślubią... Pływały przy blasku księżycy, piły colę, nie myśląc o ilości cukru w niej zawartej. Bez troska, swoboda, zaufanie do życia i do siebie. To wszystko. Otrząsnęła się z rozmyślań. Czas przygotować lekki posiłek dla Roberta. Weszła do kuchni, spięła długie, złociste włosy i zabrała się do wyciskania pomarańczy. Robert był jak zwykle punktualny. Podpłynął swoją łodzią do jej brzegu, zacumował i wyskoczył na ląd, uśmiechając się z daleka od ucha do ucha. Przemięły, cudowny facet z którym można było o wszystkim porozmawiać. Jak miło ciebie widzieć, powiedział swoim łagodnym głosem. Ciebie również, odpowiedziała. Jak się czujesz? Coraz lepiej i lepiej, odpowiedziała i uśmiechnęła się do niego. Pomyślała, że mało zna osób, które naprawdę chcą słuchać naszych opowieści. Robert do takich należał. Potrafił pięknie mówić, ale też pięknie słuchać. Tak całym sobą, z zainteresowaniem, nigdy nie przerywając w połowie zdania. Usiedli na tarasie i wymienili się wszystkimi nowinkami. Chociaż znali się dopiero od roku, wiedzieli o sobie niemal wszystko. Ona wiedziała, że on ma żonę i trzy piękne córki, on wiedział, że ona postanowiła zrewidować swoje życie, odpocząć, nabrać energii, aby w pełni sił rozpocząć kolejny etap swojego cudownego, choć niepozbawionego wzlotów i upadków, życia.

Kolejny raz zaczęła się wiosna, choć tam, gdzie była, nie miało to żadnego znaczenia. Teraz żyła w otoczeniu cudownego, wszechobecnego lata. Nie zapomniała jednak, że lubiła patrzeć na zmieniające się jak w kalejdoskopie pory roku. Jesień czasami bywała piękna, kiedy liście na drzewach zmieniały swój kolor z zielonego na żółty, czerwony, brązowy, pomału opadając z drzew i lądując na alejkach w parku, na ulicach, mieniąc się w leniwym, jesiennym słońcu, które pokazywało się na krótko i zmieniało krajobraz w iście bajkowy. Jesień ustępowała miejsca zimie. Lubiała patrzeć na śnieg, lubiała rześkie, mroźne powietrze, spacerować, a po nich filiżankę gorącego kakao wypitego w ciepłym, przytulnym, oświetlonym promykami świecy domu. Po zimie cieszyła się na wiosnę, kiedy dni stają się coraz dłuższe, kiedy wszystko pomału

zaczyna budzić się do życia. Na drzewach i krzewach można dostrzec pierwsze listki, których odcień zieleni jest zupełnie inny od tego jesiennego. Krokusy, żonkile, tulipany, piwonie, magnolie, bez, wszystko po kolei przykuwa naszą uwagę. Kuje w oczy, łaskocze w nozdrzach. Istny spektakl kolorów, jeden piękniejszy i intensywniejszy od drugiego. I co za zapachy. Parada gwiazd. Po wiosnie nadchodzi leniwe, ciepłe, słoneczne i długo wyczekiwane lato. Świat jest piękny, kolorowy i pachnący, wieczory długie, zapraszające do pozostania na świeżym powietrzu. To czas spotkań z przyjaciółmi, czas zabawy. Czas siedzenie do nocy na tarasie, czas rozmów i bliskości. Czas lekkość. Czas kąpeli w morzu i zapachu skóry nasyconej słońcem.

Teraz miała zawsze lato i cieszyła się nim każdego poranka. Wiedziała, że tak nie będzie zawsze, że ten czas kiedyś się skończy, i że znowu, kiedyś, wróci do przestrzeni czterech pór roku.

Otrząsnęła się z rozmyślań, wróciła do tu i teraz. Nadszedł czas rytuałów. Rano kąpiel w morzu, masaż ciała olejem sezamowym, gimnastyka, później praca.

Wieczorem, po spacerze, miała w zwyczaju popracować trochę na tarasie. Choć światło już nie było takie ostre, a może właśnie dlatego, sięgała po płótna i farby, aby wyrzucić z siebie to, co całymi latami trzymała w sobie, co było w niej jakby zablokowane. Emocje, wizje, marzenia i plany. Wszystko przelewała na płótno, bawiła się kolorami, formami. Pasja, z jaką malowała, przypominała wybuchy wulkanu. Nie można jej było pohamować. Gdy już wezbrała, była nie do opanowania. Żywiół, któremu nie sposób się oprzeć, pochłaniał ją bez reszty, porywał, unosił, i uwalniał to, co miało zostać uwolnione, pokazane, nazwane, to, co już od dawna czekało na swoje uzewnętrznienie. Z każdym dniem szło jej coraz lepiej. Systematyczność dodawała odwagi ekspresji. I tak dzień w dzień odkrywała następny kawałek siebie.

Dzieciństwo

Pomyślała o przyszłości. Gdzie chciałaby być, co chciałaby robić, no i kto miałby pojawić się u jej boku. Przecież nie zostanie do końca swoich dni tutaj, na tej, co prawda, malowniczej, ale jednak bezludnej wyspie. Są momenty w życiu, w których chciałoby się mieć obok siebie drugiego człowieka i nie chodzi tutaj o drugą połówkę, jesteśmy już przecież same całością. Nie chodziło jej o osobę, która będzie dzieliła z nią jej smutki, ale o kogoś, z kim będzie mogła się dzielić swoim szczęściem, swoją radością życia, swoją ciekawością życia. Spojrzała w okół siebie na ten cudowny krajobraz, na Hope, na swoje zwierzęta. Wiedziała, że to jej nie wystarczy. Na ten moment było to wszystkim, czego potrzebowała, czerpała pełnymi garściami, napełniając się energią, kumulowała siłę, ale nie zapomniała o tym, że jest to tylko pewien etap jej życia. Teraz był czas na przemyślenie tego, co było za nią, i tego, czego pragnie na resztę swojego życia.

Uczymy się przecież całe życie, doświadczamy, wyciągamy wnioski, korygujemy swój kurs. Ale to za chwilę, pomyślała. Teraz wskoczę jeszcze do wody, popływam, potańczę przy blasku księżyca i gwiazd. I tak też zrobiła. Jutro też jest dzień, pomyślała, kładąc się do łóżka. Uśmiechnęła się do siebie z miłością, zanim zapadła w sen.

Spojrzała w niebo. Chociaż dzień był przepiękny, na niebie pojawiły się chmury, a właściwie chmurki. Jedna piękniejsza od drugiej płynęły po niebie przemieszczając się bez stresu, w swoim rytmie, tworząc przepiękne obrazy.

Przypomniała sobie, że będąc jeszcze dzieckiem, lubiła kłaść się z koleżankami na trawie i obserwować chmury. Każda widziała w chmurach coś innego. Można było zobaczyć biegnącego psa, twarze ludzi, różne inne zwierzęta takie jak słonie, zające, wieloryby, a czasem

nawet anioły. Obrazy te były w wiecznym ruchu, zmieniając się co chwila i tworząc nowe, niesamowite widoki. Piękna to była zabawa, rozbudzała w niej kreatywność i fantazje. A ile było przy tym śmiechu. Aż brzuchy bolały.

Lubiła również zbierać szczątki porcelany. Ważne było, żeby te okruchy dawnej świetności miały wzory. Można było zgadywać, czy to była filiżanka czy talerzyk, a może dzbanek. Jakie było ich zastosowanie. Co się stało, że rozpadły się na kawałki. Można się było tymi fragmentami porcelany wymieniać z koleżankami. Podziwiać kolory, rodzaj szkła, intensywność wzoru. Im bardziej kolorowe było znalezisko, tym lepiej.

Piękne było to moje dzieciństwo, pomyślała. Gra w klasy, w gumę, piłkę, podchody i gra w noże, które podbierało się mamie z kuchni. Pamiętała również miliony dżdżownic na asfalcie po deszczu w letni dzień. I różnorodność motyli, które zachwycały swoimi kolorami i wzorami na skrzydełkach.

Wczoraj w nocy miała sen. Śniła jej się zabawa. Było lato. W tle widziała błękit morza i słyszała fale, ten z niczym nie porównywalny szum. Na dworze pod baldachimami ustawiono stoliki i krzesła. Na każdym stoliku stał mały wazonik z kwiatami. W tle było widać parkiet do tańca, zbity z desek i pomalowany kolorowymi farbami, tworząc mandale. Z prawej strony był bar z kolorowymi drinkami, z parasolkami oczywiście. Nie zabrakło również szampana. Z lewej strony ustawiony był stół z jedzeniem. Sałatki, owoce, desery. Wszystko było pięknie ozdobione, samo w sobie kolorowe, swoim widokiem zapraszało do spróbowania. Było mnóstwo ludzi, przeważnie w jej wieku. Spoglądała w roześmiane twarze pięknie ubranych i szczęśliwych kobiet, miłych i uprzejmych mężczyzn. Ten obraz był pełen harmonii, ciepła, miłości. Ona sama wyglądała zjawiskowo. Specjalnie na tę okazję ubrała najpiękniejszą letnią sukienkę, jaką miała w szafie, upięła wysoko włosy, pomalowała lekko usta. Bawiła się do samego świtu, była szczęśliwa. Z głośników wydobywały się takie przeboje jak „Szklana pogoda” i „Przeżyj to sam”. Nie zabrakło „Niewiele ci mogę dać” i „Autobiografii”. Była też jej ukochana ABBA. Muzyka do tańca, do śpiewu i do kontemplacji. W tym śnie wszystko było lekkie, świetliste i bardzo pozytywne.

Obudziła się z uśmiechem na twarzy. Chwilę leżała w łóżku i z otwartymi już oczami rozmyślała, co też ten sen chciał jej przekazać. O czym mówi jej podświadomość?

Chyba już wiem, pomyślała i odsuwając od siebie jedwab, pod którym spała, rześko wstała z łóżka, aby rozpocząć kolejny, piękny dzień.

Dobrostan

Dzień był pełen obowiązków. Właśnie skończyła malować kolejny obraz. Popatrzyła na niego. Tak, była z siebie zadowolona. Obraz był pełen ognia, ale takiego kojącego. Przepracowała dzięki niemu kolejny fragment swojej przeszłości. Zabrała się za pisanie listu do przyjaciółki, bo od kilku dni śniła jej się każdej nocy. Po zakończeniu pisania wzięła szklankę soku pomarańczowego i usiadła na tarasie. Było gorąco, jak zwykle. Słońce dawało z siebie wszystko. Podeszła nad brzeg morza i zanurzyła stopy w wodzie. Poczwała natychmiastową ulgę. Odetchnęła. Tak idąc brzegiem morza, przypomniał jej się inny spacer.

Była wiosna. Coraz ładniejsza pogoda i coraz dłuższe dni. Po kolejnym ciepłym dniu nadszedł czas na wiosenną burzę. Przeczekała opady deszczu, i jak tylko wszystko się uciszyło, wzięła swoją psinę na spacer. Był wczesny wieczór. Łąki dosłownie opite wodą pulsowały, chłonęły ten niespodziewany deszcz. Nad polaną unosiła się mgła. Przyroda wyglądała iście bajkowo. Po burzy nastał błogi spokój. Ptaki rozśpiewały się, dając z siebie wszystko. Przeróżne insekty, ślimaki, a nawet żaby wyszły na ulicę. Wyglądało to jak pochód natury. Flora i fauna

w absolutnej harmonii. I jakby tego było mało, na horyzoncie dostrzegła widowiskowy wręcz zachód słońca. Co to były za kolory! Ognisty pomarańcz przemieszany z intensywną prawie bielą, w tle błękit, chwilami granat. Boże, jakie natura potrafi stwarzać dzieła sztuki, pomyślała. Każdy liść wydawał się w swojej zieleni intensywniejszy, kwiaty, a mijała na swojej drodze róże i rododendrony, prześcigały się w swojej atrakcyjności i postawie. Świeża dawka wody sprawiła, że stały z dumnie postawionymi kielichami, skrywając w sobie krople deszczu.

W tle sarna przeszła przez ulicę, zatrzymując krótko spojrzenie na tych dwóch innych postaciach przy ulicy, po czym poszła dalej w swoją stronę.

Owce sąsiadów z ciekawością podeszły do ogrodzenia, przyglądały się jej, podgryzając świeżą, wilgotną trawkę. Przystanęła, popatrzyła na nie. Dwie czarne i dwie białe. Były pełne wełny, tylko ich łebki jakby ogolone, nie pasowały do reszty ciała. Czy one zawsze tak wyglądają, zapytała siebie, czy ktoś ogolił im te głowy i zapomniał o reszcie. Śmiesznie prezentowały się z tymi małymi uszami sterczącymi z boku głowy, z tym jakby zamyślony wzrokiem. Ciekawe, o czym one teraz myślą, pomyślała. I co by powiedziały, gdyby mogły mówić. Jak się czują w swoim futrze, a jak takie nagie, obdarte ze swojej wełny. Mnóstwo pytań nasuwało jej się do głowy.

Spojrzała z ogromną czułością w dół na swoją wierną przyjaciółkę, która towarzyszyła jej już ponad 14 lat i pomyślała. Jak ja bym chętnie z tobą porozmawiała. Towarzyszysz mi już tak długo. Jesteś przy mnie, gdy się śmieję i gdy płaczę, gdy jestem w towarzystwie i kiedy jestem zupełnie sama. Znasz mnie najlepiej na świecie, bo przy tobie zawsze jestem sobą. Kochasz mnie bez względu na to, jak wyglądam, czy mam dobry dzień, czy wręcz odwrotnie. Kochasz mnie nawet, a może nawet wtedy jeszcze bardziej, gdy jestem chora, rozgorączkowana, zasmarkana. Kochasz mnie, gdy wychodzę z tobą na spacer, ale też wtedy, gdy cię ignoruję i nie mam dla ciebie czasu. Zawsze cieszysz się, gdy wracam do domu, obojętnie, czy wyszłam na 5 minut czy na 5 godzin.

Patrzę na ciebie, jak powolutku przy mnie dreptasz, najwierniejsza istota na świecie, i moje serce przepelnia się miłością. Wierz mi, ty też jesteś dla mnie wszystkim, pomyślała. Psinka, jakby czując wagę chwili, uniosła swój śliczny łepok i spojrzała na swoją panią. Jakby chciała powiedzieć, dobrze, że tutaj jesteś i wiem, że ty też mnie kochasz.

Wyszła z domu nie przeczuwając, że ten spacer okaże się taki cudowny. Bo tak to w życiu bywa. Czasem oczekujemy fajerwerków, a dostajemy małe pomyki, co najwyżej zapałki. Innym razem wychodzimy z domu na zwykły spacer z psem, a w zamian dostajemy bogactwo natury i wglądy, które powalają nas z nóg, napełniają nasze oczy łzami a serce miłością.

Przypomniała jej się wskazówka Don Miguela Ruiza - nie zakładaj niczego z góry.

Uśmiechnęła się do siebie, do swojej wiernej przyjaciółki i do życia w ogóle.

Wokół nas jest dobrostan, wystarczy tylko otworzyć oczy.

I właśnie tutaj, na tym nadmorskim spacerze, przypomniał jej się ten inny, majowy spacer, w innej scenerii, ale jakże ważny, jakże istotny dla jej historii.

Skarabeusz

Z podróży do Egiptu przywiozła sobie skarabeusza, takiego małego żuczka. Wierzone, że każdego dnia wraz ze wschodem słońca odradzał się na nowo, jakby zmartwychwstawał. To tak dobrze wkomponowało się w jej historię, że po prostu musiała zabrać go ze sobą do domu. Teraz patrząc na niego, rozmyślała, ile już razy zmartwychwstała. To kolejne życie, a raczej

jego nowa odsłona, która z każdym dniem nabierała coraz to konkretniejszych kształtów, napawało ją miłością i spokojem. Tak dużo już zrobiła, żeby znaleźć się właśnie tutaj, w tym miejscu, w tej odsłonie swojej niczym nieograniczonej doskonałości, ale też i lekkości. Skarabeusz jako bóg wschodzącego słońca pokazywał jej, jak to robić. Jak się nie ograniczać ludźmi, słowami, sytuacjami. Jak odrodzić się na nowo i poczuć swoją siłę, jednocześnie szanując swoją kruchość. Dyscyplina, choć tego słowa nie lubiła, bo nie oddawało tak do końca tego, co chciała przekazać, pomogła jej zmienić siebie, a ze zmianą siebie nadeszła zmiana wszystkiego wkoło.

Jest takie powiedzonko: z kim przystajesz, takim się stajesz. Odkąd pojawiły się w jej życiu nowe osoby, osoby, które swoją łagodnością, spontanicznością, swoim pozytywnym myśleniem i pozytywnym nastawieniem do wszystkiego i wszystkich, żyło jej się lepiej. Stawała się jedną z nich. Budziła się z myślą - dzisiaj będzie piękny dzień i zasypiała, dziękując za wszystko, co jej się tego dnia przytrafiło. Nie, żeby od tej chwili wszystko było cudowne i bezproblemowe w jej życiu. To nie o to chodziło. Nadal zdarzały jej się trudne momenty i trudni ludzie, ale już się tego nie bała. Pytała się raczej siebie, co też to zdarzenie ma jej pokazać, czego nauczyć. Dlaczego akurat ten człowiek stanął na jej drodze. W życiu nie ma przypadków. Wszystko jest po coś i wszystko jest ważne.

Inną pamiątką, którą przywiozła sobie z podróży do Egiptu, była figurka wielbłąda. Wielbłąd jest niesamowitym zwierzęciem. Jest zwierzęciem bardzo posłusznym, ale do czasu. Zirytowany potrafi gryźć i kopać. Potrafi wytrzymać do siedmiu dni na pustyni, w ekstremalnych warunkach, bez wody. Słowo, które jej się z wielbłądem najbardziej kojarzyło, to właśnie wytrzymałość. To słowo pasowało również do niej. Ona też była wytrzymała. Wytrzymała to, że do jej pierwszego ślubu nie doszło. Wytrzymała też to, że żyła z dala od rodziny. Wytrzymała, że nie dane jej było mieć dzieci. Wytrzymała nawet życie bez miłości. Ale wszystko do czasu. Jak ten wielbłąd. W końcu obudziła się, powstała jak feniks z popiołów i powiedziała życiu TAK. Przejęła swoje życie w swoje ręce i nie bacząc na opinie innych, postanowiła je zmienić. Już zapomniała jak jest żyć pełną piersią, chciała się tego na nowo nauczyć. Życie jest zbyt piękne, aby je zmarnować. Ewa Foley powiedziała kiedyś „postaw się” i się postawiła. Postawiła się życiu, miłości, przyjaźni. Chciała oddychać pełną piersią, a nie na pół gwizdka, chciała być reżyserem swojego życia, a nie tylko statystką. I zarówno skarabeusz, jak i wielbłąd jej o tym przypominali. Tylko ty wiesz najlepiej, czego potrzebujesz, czego pragniesz. Sięgnij po to. Nie bój się. Po drugiej stronie strachu nie ma nic, jak mówił jej ulubiony psycholog Andrzej Tucholski. Bo co się w końcu może zdarzyć? Najwyżej umrzesz. Odważ się, a zobaczysz, że warto. Warto jest postawić na siebie. Tylko ty sama wiesz najlepiej, czego potrzebujesz. Zaufaj sobie, swojej intuicji, daj się poprowadzić, żyj w zgodzie ze swoją daramą, a wszystko się zmieni, nabierze lekkości, tempa. I tak też zrobiła.

Zaczęła się zastanawiać, czy lubi swoje towarzystwo. Już tak długo była na tej wyspie sama, że coraz bardziej odczuwała brak ludzi wokół siebie. Chyba już chciała wrócić do rzeczywistości, wyjść z tego, przez siebie samą zresztą, utkanego kokonu. Pokazać się. Chciała do ludzi. Zateęskniła za spacerem z przyjaciółką do kawiarni, zamarzył jej się dobry film w kinie, wyjście do teatru. Odczuwała brak kontaktów międzyludzkich. Może to nie była kwestia nielubienia swojego towarzystwa, zaczynało jej ono po prostu nie wystarczać. Przypomniały jej się przeróżne imprezy, w których brała udział. Jarmark Dominikański w Gdańsku, koncerty czołowych polskich grup muzycznych nad Motławą, pokaz sztucznych ogni czy kino letnie na dachu Teatru Szekspirowskiego. Tego było jej brak. Tych roześmianych, zasłuchanych twarzy wokół siebie. Tego gwaru, rozmów, zapachów. Chyba nadszedł już czas,

aby spakować swoje rzeczy i wrócić do ludzi, do domu. Wiedziała, czego chciała, świetnie odpoczęła. Miała wystarczająco dużo czasu na przemyślenie wszystkiego, z czym sobie do tej pory nie radziła albo co wymagało jeszcze momentu zatrzymania. Wykorzystała pobyt na tej malowniczej wyspie najlepiej, jak potrafiła.

Obudziła się, otworzyła oczy. W pokoju panował jeszcze półmrok. Było cicho, spokojnie. Ostrożnie wysunęła się z łóżka i poszła pod prysznic. Miała jeszcze trochę czasu do porannej gimnastyki. Umyła się i ze szklanką ciepłej wody usiadła na tarasie. Na dworze było chłodno. Słońce leniwie wschodziło, dając sobie czas i wypuszczając promienie jakby od niechcenia, powoli. W oddali usłyszała szum fal, jej ukochane morze właśnie w ten sposób się z nią witało.

Postanowiła zaraz po gimnastyce pójść na spacer. W końcu to były jej wakacje.

Po ćwiczeniach wślizgnęła się po cichu do sypialni, aby zabrać ze sobą cieplejszy sweter.

Już nie śpisz? Usłyszała od strony łóżka.

Nie, odpowiedziała. Idę na mały spacer przed śniadaniem. Śpij jeszcze. Obudzę cię, gdy wrócę.

Usłyszała jeszcze ciche „ok” zanim wybiegła z sypialni.

Idąc brzegiem morza, pomyślała, jak ona jest do niego podobna. U niej też bywały przypiływy i odpływy. Raz była piękna i pogodna, innym razem zimna i niedostępna. Raz cicha, innym razem głośna, wręcz krzycząca. Teraz jej życie było pasmem nieustającego dobrobytu. Ale przecież bywało różnie. Dostajemy od życia nie zawsze to, co chcemy, ale zawsze to, czego potrzebujemy.

Trzy lata minęły, odkąd wróciła z bezludnej wyspy. Popatrzyła wstecz na swoje początki. Potrzebowała trochę czasu, aby odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Bardzo dobrze wiedziała, czego już nie chce w swoim życiu doświadczać i zabrała się do szukania tego, czego jej w życiu było brak bądź czego chciała mieć w życiu więcej.

Zaczęła od podróży. Od dawna chciała odwiedzić kilka krajów i doszła do wniosku, że właśnie teraz jest najlepszy na to czas. Zwiedziła Hiszpanię, Portugalię, Grecję i Włochy. Czuła się trochę tak, jak bohaterka powieści „Jedź, módl się i kochaj”. Odwiedziła cudowne miejsca, poznała interesujących ludzi, spędzała dni na spacerach, a wieczory na rozmowach przy świetnym jedzeniu i dobrym winie. Namalowała kilka nowych obrazów, przeczytała mnóstwo książek, codziennie pisała pamiętnik, aby nic z tego, co obecnie przeżywała, nie odeszło w zapomnienie.

W Grecji poznała właściciela małej galerii, który postanowił wystawić jej obrazy. Nie była pewna, czy to jej obrazy zrobiły na nim takie wrażenie, czy może ona sama. Pomyślała tylko, że to nie ma znaczenia, że chce wykorzystać tę szansę, wyjść ze swojej strefy komfortu i usłyszeć, jak inni widzą i oceniają jej twórczość. Za pieniądze z wystawy, która okazała się sukcesem, kupiła sobie mały domek letniskowy na Korfu, aby zawsze mieć dostęp do morza, gdy tego zapragnie. Po powrocie do domu napisała książkę kulinarną „Smaki z podróży”, która zawierała nie tylko przepisy kulinarne, ale była również pełna zrobionych przez nią zdjęć z podróży. Książka ta również okazała się sukcesem. Oprócz pisania zajmowała się pomocą rodzinom z dziećmi upośledzonymi. Wykorzystywała w swojej pracy techniki oddechowe, psychobiologię, ajurwedę i aromaterapię. Jak się okazało, w ten sposób jeszcze nikt nie pracował. Miała cudownych klientów, którzy bardzo chętnie korzystali z jej doświadczenia i holistycznego podejścia do ich dzieci. Kolejny sukces, który pokazał jej, że może wszystko. Tak też się czuła.

Usłyszane kiedyś słowa „Bóg nie może dla nas zrobić tego, czego nie może zrobić poprzez nas”, nabrały dla niej nowego znaczenia. Właściwie mogła powiedzieć, że dopiero teraz je rozumiała.

Czuła się silna. Kochała siebie, swoją pracę i swoje pasje. Emanowała spokojem, wewnętrzną harmonią i wiarą w siebie. Pomyślała, że niepotrzebnie stawiała sobie jakieś granice. Granice są tylko w naszych głowach. Ograniczają nas, nasze pomysły i nasze działanie.

Wiedziała, w czym jest dobra i krok po kroku rozwijała swoje talenty.

Idąc plażą, wspominała te trzy ostatnie lata z czułością. Jestem motylem, pomyślała. Dobrze, że rozerwałam ten kokon i poddałam się metamorfozie.

Wróciła ze spaceru. Adam siedział na tarasie, czytał książkę i czekał na nią ze śniadaniem. Popatrzyła na niego z miłością. W tym momencie, czując jej wzrok na sobie, mężczyzna podniósł oczy znad książki i uśmiechnął się do niej.

Cześć kochanie, dobrze, że już jesteś, powiedział z czułością w głosie.

Nie chciałem zaczynać bez ciebie...

Monika Barcicka

Joanna

Otworzyła oczy, ogień w kominku już przygasł, ale za oknem było jeszcze ciemno. Przyłożyła dłoń do swojej szyi, przesunęła ją w dół w kierunku piersi. Na skórze czuła jeszcze dotyk jego dłoni, na ustach pocałunki, smak chwil, które chciała zatrzymać na dłużej. Ale jego już nie było. Wyszedł po cichu, pod osłoną nocy. Nigdy nie powinni się spotkać. Nie mieli prawa do tej miłości. Jedno spojrzenie kilka miesięcy temu, jeden uśmiech obudził iskrę pożądania. To pragnienie, które wymknęło się rozumowi i sprawiło, że z każdą chwilą chcieli coraz bardziej i bardziej... zapomnieć o świecie, oddać się zmysłom, zatracić, rozpuścić. Spojrzała na drzwi do przedpokoju, były lekko uchylone. Pomyślała: śpieszył się, pewnie za chwilę wstanie dzień... Po raz kolejny, oboje będą sobie przyrzekać, że już nigdy więcej się nie spotkają.

Joanna powoli usiadła na łóżku, przeciągnęła się, ziewając postawiła stopy na podłodze. Zawsze chodziła po domu boso, lubiła czuć pod nogami ciepło drewnianej podłogi. Gdy mogła sobie na to pozwolić, spędzała poranki zupełnie nago. To był jeden z tych poranków, niedzielny, spokojny, taki, gdzie czas płynie innym rytmem. Nalała sobie szklankę stojącego na blacie w kuchni naparu z mieszanki ziół, wypila kilka łyków. Spojrzała w kąt, w którym stał ciężki, mosiężny młynek do kawy. Podeszła do niego, kilka razy przekręciła korbą, otworzyła pojemnik, pochyliła głowę, by poczuć aromat świeżo zmielonych, brązowych ziaren. Lubiła ten moment. Mimo że logicznie rzecz ujmując, był on zupełnie niepotrzebny, kawy było zawsze za mało, by ją zaparzyć... Ale był to moment przejścia między nocą a dniem, przedsmak tego, czego skosztuje za chwilę, cicha obietnica świeżości, nowej energii. Bez niego kawa zaparzona chwilę później, w metalowej kawiarence, na palniku, nie byłaby taka sama. Z kubkiem gorącego napoju w dłoni Joanna podeszła do przeszklonych drzwi prowadzących na taras. Zarzuciła na ramiona wiszący przy wyjściu na dwór jedwabny, zielony szlafrok, przewiązała go lekko w pasie. Wyszła na zewnątrz, usiadła na jednym z drewnianych schodków. Słychać było tylko śpiew ptaków. Trawę wokół pokrywały krople rosy. Przez okoliczne drzewa przesączały się promienie słońca. Wiatr jeszcze śpi - pomyślała. Mógłby pomóc... chociaż raz, ale nigdy nie był po jej stronie. Chciała nazbierać dziś ziela dziurawca. Jego kwiaty muszą być zupełnie suche. Pierwszy raz to zioło pokazała jej babcia, podczas zbierania grzybów, właśnie tutaj, zerwała kilka kwiatów dziurawca i powiedziała: „Zobacz, można to suszyć i pić na jesień i w zimie. Rośnie tam, gdzie jest dużo słońca, na polanach, przy polnych drogach”. Joanna wiele lat później dowiedziała się, że babcia miała rację ... dziurawiec wlewa światło w ludzką duszę, chroni przed spadkiem nastroju, depresją w te miesiące, gdy brakuje słońca. Teraz ten drewniany dom na skraju lasu przypomina jej o tamtym wydarzeniu. Wtedy pierwszy raz pomyślała, że mogłaby tu zostać na dłużej, a może na zawsze...

Całe południe Joanna spędziła na zbieraniu zielska, rozkładaniu go na białe, lniane płótna, rozwieszaniu w małych wiązkach na ścianach. Gdy, weszła do domu, było już po 18.00. Opadła na krzesło, spojrzała w lustro stojące na komodzie. Twarz i szyję miała zarumienioną, pokrytą kurzem, fryzurę w nieładzie. „Moje włosy powoli zmieniają kolor” - pomyślała. Uśmiechnęła się do siebie. Po lecie jej ciemnobursztynowe włosy nabierały złotych refleksów. „To był naprawdę dobry dzień” - pomyślała. Za kilka godzin spodziewała się gościa. Wawrzyniec odwiedzał ją w każdą niedzielę. Zawsze zjawiał się chwilę po zachodzie słońca. Bardzo lubiła jego wieczorne opowieści. Po godzinie po umorusanej ziemi kobiecie nie było śladu. Joanna miała na sobie swoją ulubioną suknię z zielonym gorsetem z mchów i liści paproci, której dół pokrywały chabry i maki. Założyła długi naszyjnik i kolczyki z bursztynów. Gdy usłyszała ciche pukanie, wyjrzała na taras. Przed drzwiami był gość, którego oczekiwała. Duży wilk, o pięknej błyszczącej, szarej sierści siedział z dumnie podniesioną głową. Otworzyła drzwi. „Dobry Wieczór Wawrzyńcu” - powiedziała. „Witaj, Joanno. Co tak pięknie pachnie?” -

zapytał wilk, wchodząc do środka. Joanna się roześmiała, po czym szybko odpowiedziała: „Do stołu podano przepiórki w płatkach róż, zapraszam !”

Kieszenie

Joanna spoglądała na migoczący płomień świecy stojącej na stole w ciężkim, mosiężnym świeczniku. Okno było uchylone, do pokoju wraz z ciepłym powietrzem napływało melodyjne cykanie świerszczy. Spojrzała na swojego gościa. Wydawał się nieco zamyślony. Nieśpiesznie oddzielał pazurami pierś perliczki od reszty korpusu. Raz po raz spoglądał przed siebie.

- Coś się stało, Wawrzyńcu? Jesteś dziś jakiś smutny. Chcesz mi o czymś opowiedzieć? Czy też może ... nie smakuje Ci ta kolacja, hmm? Mam jeszcze wątróbkę z zająca, z niedźwiedzim czosnkiem i rajskimi jabłkami, podgrzeję, to żaden problem - zwróciła się do wilka.

- Ależ Joanno, to jest naprawdę pyszne, przecież wiesz, że uwielbiam twoją kuchnię, świetnie gotujesz, a perliczki to już zupełne mistrzostwo... Jestem nieco zmęczony... przemierzyłem dziś ponad 30 kilometrów. Lasów jest coraz mniej, muszę przemieszczać się po polach, a czasem przy samych drogach i gospodarstwach. To niebezpieczne. Zatrzymałem się dziś w jednym miejscu na kilka godzin. Usiadłem w sadzie, schowałem się za pnem starej jabłoni. Od lat tam odpoczywałem podczas wędrówek. Gospodarz, Stary Drzewiecki, całe życie spędził, pracując na roli i w sadzie. Pobudował duży dom z drewnianych bali i wszystkie gospodarze budynki: drewnutnię, magazyn, szopę, pracownię stolarską. Lubił dłużyć przy drewnie, jego ojciec był stolarzem i nauczył go rzemiosła. Drzewiecki potrafił zrobić praktycznie wszystko: stół, szafę, a nawet wóz. Ale nie sprawiało mu to radości. Było tak, dopóki nie zaczął rzeźbić. W wolnym czasie zamieniał pnie drewna w różne dzikie zwierzęta. Szczególną miłością darzył jastrzębie i sowy. Dawno temu, gdy jego dzieci były małe, wyczarowywał dla nich różne zabawki. Synowie dorośli, pozakładali rodziny, rzadko go odwiedzali. Kilka lat temu jego żona zmarła. By zapełnić pustkę, Drzewiecki całymi dniami siedział w swojej pracowni. Lubiłem go obserwować. Zakradałem się od tyłu pracowni, pod szczelinę między deskami. Siadałem i odpoczywałem. Wszystkie zabudowania otoczone były przez stare jabłonie, grusze, śliwki. Drzewa dawały cień, a niewielki staw za domem pozwalał mi ukoić pragnienie. To było jedyne gospodarstwo w liczącej kilkuset mieszkańców wsi, które nie miało ogrodzenia. Nigdy. Drzewiecki powtarzał, że nie potrzebuje odgradzać się od świata. Nie obawiał się kradzieży, mimo że wewnątrz domu wypełniały cenne obrazy namalowane przez jego żonę.

I wiesz co, Joanno? - ciągnął swą opowieść Wawrzyniec. Myślę, że dziś widziałem go po raz ostatni. W asyście dwóch synów i pielęgniarki mężczyzna przewożony był do domu opieki społecznej. Czuję, że to może się tak skończyć. Pamiętasz tę mroźną zimę dwa lata temu? - zapytał.

- Oczywiście! - krzyknęła Joanna. Nieraz w śnieżycę wychodziłam po drewno do kominka, w którym w dzień i w nocy musiałam palić, by dom się nie wyziębił.

- Tamtej zimy - kontynuował wilk - Drzewiecki praktycznie nie odwiedzał swojego stolarskiego azylu. Myślałem, że to przez mróz..., ale prawda była zupełnie inna. Gwałtownie pogorszył mu się wzrok. Zaczął poruszać się dużo wolniej, często prawie po omacku, odnajdując potrzebne przedmioty. Codziennie na kilka godzin przyjeżdżała do pomocy opiekunka z gminnego ośrodka pomocy społecznej. Ale by godnie żyć, a może, co ważniejsze, by... godnie umrzeć, potrzebował całodobowej opieki. Z oczu wilka popłynęły łzy... I wiesz, widziałem go dzisiaj, gdy stał na progu domu... z pustymi rękami. Z całego dorobku życia nie zabrał nic. Nic kosztownego, nic osobistego, jedynie z kieszeni spodni wystawały mu dwie latarki. Jedna, większa, która pomagała mu się sprawniej poruszać, strumień światła odbijał się

od przedmiotów, rozpraszając w przestrzeni, druga mniejsza, niejako zapasowa, którą zabierał do łóżka, kładąc tuż przy poduszce.

Joanna wstała, objęła wilka za szyję. - To rzeczywiście bardzo smutna historia - powiedziała. Szkoda, że nie miałam możliwości, by poznać tego człowieka. Wawrzyniec skinął głową, po czym gwałtownie spojrzał prosto w oczy Joanny. Drżącym z emocji głosem zapytał:

- A gdybyś... a gdybyś Ty miała zabrać ze sobą tylko dwie rzeczy, które można zmieścić w kieszeni, co by to było?

Rozległo się głośne pohukiwanie sowy. Kobieta spojrzała w okno, po chwili zamyślenia powiedziała:

- Zabrałabym długopis, by mieć poczucie, że to nie koniec mojej historii, że mogę sama dopisać dalszy ciąg... i nóż ..., by walczyć, a jeśli nie będę widzieć światła..., by się poddać.

Odnowa

Po kolacji Joanna wyszła z Wawrzyńcem przed dom, odprowadziła go pod furtkę w ciemnym, modrzewiowym płocie i mocno przytuliła. „Dbaj o siebie” - szepnęła. Wilk skinął głową i szybko odrzekł: „Ty też moja droga, za tydzień się zobaczymy ”, po czym zniknął w leśnej gęstwinie krzewów. Spotkania z Wawrzyńcem oddzielały fragmenty codzienności równą jasną kreską. W każdy niedzielny poranek Joanna siadała z kubkiem gorącej kawy i w dzienniku zapisywała wszystkie refleksje na temat ubiegłego tygodnia. Pisała o tym, co się wydarzyło, o swoich sukcesach, porażkach, dalszych planach i marzeniach. To pozwalało jej zorientować się, w jakim miejscu się znajduje, czego chce więcej, a czego mniej w swoim życiu. Wszelkie rozterki mogła wieczorem omówić z przyjacielem. Czuła, że ma ogromne szczęście. Każdy poniedziałek był dla niej szansą na rozpoczęcie czegoś zupełnie nowego albo zrobienie kolejnego kroku w wyzwaniach, których wcześniej się podjęła. Taki swobodny przepływ energii dawał niesamowitą siłę. W dodatku jutro księżyc będzie w nowiu - pomyślała. To dobry czas na oczyszczenie ciała i umysłu. Joanna zawsze zaczynała od ciała, tylko zrelaksowane ciało pozwoli uzyskać jasny, spokojny umysł. Przed nowiem szykowała swój własny rytuał. Po krótkim prysznicu nacierała skórę tradycyjnym czarnym mydłem z Maroka. Po kilku minutach szorstką rękawicą wykonywała okrężne ruchy od stóp do głowy. Następnie szybki prysznic i można było przygotować ciepłą kąpiel. Do wanny wrzucała dwie garści soli magnezowej i trzy garści płatków róż. Lampka czerwonego wina i kilka zapalonych świec w pobliżu dopełniały dzieła. Kolejnym etapem był masaż ciała ciepłym olejem. Właściwie była to mieszanka różnych olejów. Często bazę stanowił olej z pestek winogron. Joanna łączyła go z olejem z pestek moreli, który uelastycznia skórę oraz z olejem z rokitnika, który nadaje jej promienną, złotą barwę. Tę miksturę kobieta wcierała też we włosy, po czym owijała je cienkim ręcznikiem. Następnie siadała przed lustrem i bardzo powoli masowała twarz, tak jakby pod uciskiem dłoni mogła rozprostować wszystkie troski. Do glinianej miseczki stojącej na toalecie dodawała kolejno: dwie łyżeczki czerwonej glinki, dwie łyżeczki białej glinki, hydrolat i kilka kropli olejku z dzikiej róży. Mieszała do uzyskania konsystencji gęstej śmietany, nakładała na twarz. Patrzyła ponownie w lustro. Pomimo że większość ludzi nie mogłaby jej teraz rozpoznać, czuła się bardziej odsłonięta... W odbiciu swoich oczu widziała wszystkie emocje, uczucia i tęsknoty, widziała szczęście, smutek i całą prawdę o sobie, głos duszy, która czasem pragnie krzyknąć, chociaż nie może... Joanna położyła się na kilka minut, czekała, by maseczka spełniła swoje upiększające zadanie. Z zamkniętymi powiekami rozmyślała o planach na najbliższe tygodnie. Tym razem inaczej, nie z przestrzeni umysłu, zadań, powinności, tylko z przestrzeni serca. Czego teraz najbardziej potrzebuję? Co teraz jest dla mnie najważniejsze? - myślała. Po czym zmyła maseczkę, posmarowała twarz kilkoma kroplami oleju z dzikiej róży.

Chwyciła dziennik, długopis. Przeczytała to, co napisała w niedzielny poranek. Popodkreślała. Poprzekreślała. Podopisywała. Nie, to bez sensu!- krzyknęła. Napisała nowy plan na kolejny miesiąc, maksymalnie spersonalizowała wcześniejszy suchy harmonogram. „Od razu lepiej” - uśmiechnęła się. Teraz mogła zacząć działać w zgodzie ze sobą. Zmiana kierunku, nawet niewielka, może zaprowadzić nas w zupełnie inne miejsce.

Czarne

Kładąc głowę na poduszce, Joanna czuła wewnętrzny spokój, jej ciało było zrelaksowane, skóra miękka, pachnąca i niesamowicie gładka. Chłodne powietrze wpadało przez uchylone okno. Głośne pohukiwania sowy zapowiadały ciemną noc i zwiastowały udane łowy. Niesamowite, że zarówno ona, jak i to upierzone małe stworzenie, czuły większą sprawczość podczas księżycy w Nowiu.

Joanna odsunęła kołdrę, usiadła na łóżku, postawiła bose stopy na podłodze. Musiała szybko coś sprawdzić. Wstała i podeszła do drzwi. W białej, nocnej koszuli wyszła przed dom. Ziemia była zimna, początkowo każdy krok powodował dyskomfort. Otworzyła furtkę od drewnianego ogrodzenia. Co jakiś czas wchodziła na ostre kamienie, suche gałęzie, szyszki, wystające korzenie. Ale szła przed siebie, szła coraz szybciej. Bała się, że nie zdąży, że nie zobaczy tego, co niedawno stanęło jej przed oczami. A przecież musi tam być. Musi dotrzeć, musi zdążyć. Zaczęła biec, przez pola pszenicy, przez wysokie miedze, przez pola kukurydzy. Spoglądała co chwilę w niebo, na gwiazdy, by utrzymać obrany kierunek. Biegła coraz szybciej, raniąc bose stopy, potykając się co chwilę. Robiło się coraz trudniej. Musiała biec pod górę. Gdy dostrzegła na wzgórzu zarysy budowli, do której zmierzała, z trudem łapała oddech. W oknach paliły się świece. Jak to możliwe.. - pomyślała. Była niemal pewna, że przecucie jej nie myli, że jest tu odprawiane jakieś nabożeństwo, w którym musi uczestniczyć. Ale nie wiedziała, dlaczego. Wszystko było dziwne. Zupełnie irracjonalne. Znała to miejsce. Były to ruiny kaplicy Świętego Jana Nepomucena. Bez dachu. Z fragmentami wyblakłych fresków obrazujących Matkę Boską, z tyłu za pozostałościami kamiennego ołtarza. Wzgórze otaczały krzewy dzikiej róży i tarniny. Od lat nikt nie dbał o to miejsce. Uległo zniszczeniu w pożarze, wiele lat temu. Podobno jakiś chłop wypasający bydło zaproszył tu ogień. Przypominały o tym osmolone cegły. Pod ołtarzem znajdowało się wejście do tajemnych tuneli. Podobno ciągnęły się przez dziesiątki kilometrów do najbliższych miast. Ale nikt nie widział, czy to prawda. Joannę niepokoiła dziwna cisza. Nie miała pojęcia, co tak naprawdę zastanie wewnątrz ruin. Ostrożnie weszła na próg kaplicy. Znieruchomiała. Wpatrywały się w nią trzy postacie stojące przy ołtarzu. Czarne kruki, wielkości człowieka. Z ogromnymi, twardymi dziobami, patrzyły bez słowa. Co one tutaj robią? Na co czekają? Nie! Nie powinno mnie tu być!- krzyknęła Joanna. Odwróciła się i zaczęła biec na oślep przed siebie. Czuła zło, niewytłumaczalnie silną złą energię. Włosy na jej ciele stanęły na sztorc. Uciekała, biegła z całych sił... Przetarła dłonią czoło, było całe złane potem.... I nagle... usłyszała swój krzyk: Nie! Otworzyła oczy. Była w swoim pokoju, cała zgrzana, w mokrej nocnej koszuli. Wskoczyła z łóżka. Chciała się uwolnić, odciąć od tego obrazu, który miała w głowie. Tłumaczyła sobie, że to tylko sen. Zły sen. Ale nigdy w życiu ani na obrazach, ani w filmach nie widziała takich ptaków. Skąd się wzięły? Jak wtargnęły do jej głowy? Czuła, że musi być ostrożna. Nawet, jeśli przyjdzie jej balansować na krawędzi... czuła, że nie może przekroczyć progu.

Zatrzymanie

Sny, nawet te czarne i najstraszniejsze, pojawiają się tylko na krótko. Budzimy się z ulgą. Najczęściej chcielibyśmy zapomnieć mroczne wizje, rzucić się w wir codziennych spraw. Dobrze czujemy się, robiąc rzeczy, które możemy kontrolować. Sny składają się z migawek wspomnień, przelotnych obrazów, nieraz z nieuświadomionego strachu, lęku, ukrytych marzeń i pragnień. Utkane na szybko przez naszą podświadomość z wplecioną na wskroś cienką, złotą nitką intuicji. Joanna chciała zrozumieć, jakie informacje niósł jej sen. Nie miała jednak żadnego punktu zaczepienia. Całość była surrealistyczna i zupełnie oderwana od jej obecnego życia. Postanowiła, że gdy tylko wypije poranną kawę, wyjdzie do lasu na dłuższy spacer, by przewietrzyć głowę.

Główna ścieżka była szeroka, po bokach otaczały ją wysokie, stare sosny. Na piaszczystej ziemi leżało dużo igliwia i szyszek. Nieśmiało, pierwsze promienie słońca ogrzewały drogę. Joanna stąpała boso, ostrożnie stawiając każdy kolejny krok. Po chwili miała wrażenie, że igliwie jest bardzo miękkie, piasek przyjemnie ciepły, delikatny, a krawędzie szyszek wyczuwalne przed postawieniem stopy tak, że z łatwością można je omijać. Śpiew ptaków dochodził niemal z każdej strony, był radosny, intensywny. Głośnym echem niósł się odgłos stukania dzięcioła. W pewnym momencie Joanna go dostrzegła, siedział wysoko, na jednej z sosen. Uderzał dziobem raz po raz, wciąż w ten sam sposób. Na przestrzeni lat powstawały różne naukowe teorie próbujące wyjaśnić, co sprawia, że ten ptak nie doznaje obrażeń mózgu. Większość obalono. Ostatecznej odpowiedzi nadal brak, a życie dzięciołów toczy się bez zmian. Auć! - krzyknęła Joanna, strzepując z łydki kilka ogromnych mrówek. Gdzie wy wędrujecie, zły kierunek! - mruknęła pod nosem. Spacerując z zadartą do góry głową, nieopatrznie zbliżyła się do wielkiego mrowiska. Wróciła na ścieżkę i szybko ruszyła przed siebie. Po chwili, z lewej strony, usłyszała łagodny szum morza, śpiew ptaków nieco przycichł, a po kilkuset metrach zmienił się w piski i skrzeczenie piskląt. To był świat kormoranów. Ich rezerwat. I zapewne miejsce generujące największy w lesie hałas, typowy dla przełomu kwietnia i maja, sezonu lęgowego. Te ptaki fascynowały ją od dawna. Budują gniazda na szczytach sosen. Dziesiątki metrów nad ziemią. I potrafią nurkować wiele metrów pod wodą. Żywią się wyłącznie rybami, zjadając około pół kilograma dziennie. Z daleka kormoran wydaje się cały czarny. Z bliska jego pióra mieniają się odcieniami granatu i butelkowej zieleni z metalicznym połyskiem. Twardy, długi, hakowato zaokrąglony dziób zdradza jego drapieżną naturę. Błona pławna, rozpięta między wszystkimi palcami, zapewnia swobodę poruszania się pod wodą. Mocne pazury wczepiają się w ofiarę..., ale też pozwalają na stabilne trzymanie się gałęzi drzew, nawet przy największym wietrze. Wiek kormorana zapisany jest w jego oczach. Młode osobniki mają brązową tęczę, dorosłe niebieskozieloną, przypominającą mozaikę z antycznej rzymskiej świątyni. Joanna była przekonana, że ich oczy i dusze przesiąknięte są tym, co widzą. Początkowo są to tylko gałęzie rodzinnego gniazda i sylwetki rodziców, później błękit nieba, zieleń lasu, stalowoniebieska tafla wody. Skandynawowie uważali kormorany za istoty niezwykle, niemal święte. Ich obecność, zwłaszcza liczna, stanowiła dobrą wróżbę. Symbolizowały odwagę, siłę i konsekwencję w dążeniu do celu. W przeciwieństwie do innych ptaków wodnych, kormorany nie natłuszczają swoich piór, dzięki czemu namoknięte wodą zwiększają ich ciężar właściwy i pozwalają nurkować szybko i na większą głębokość. Ale wszystko ma swoją cenę ... Przed oczami Joanny odsłoniła się główna część rezerwatu. Iście postapokaliptyczny krajobraz. Setki nagich szkieletów drzew, wypalonych przez kwaśne odchody ptaków. Na czubkach siedziały dorosłe osobniki z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Ich pióra wymagały długiego suszenia w słońcu. Ptaki siedziały cierpliwie, często w odosobnieniu. Ich domem były przestworza, ale karmić mogły się tylko, schodząc głęboko pod powierzchnię wody. Czy gdziekolwiek były szczęśliwe? Czy w tych chwilach zatrzymania, wygrzewania się w słońcu, odnajdywały spokój? Joanna zawróciła ze ścieżki w stronę domu. Jej myśli znowu powędrowały w stronę snu z ubiegłej nocy. Nadal nie potrafiła go

zinterpretować. Jednak może pewnych rzeczy nie da się przyspieszyć? Może odpowiedzi przyjdą same, gdy na chwilę zwolni, zatrzyma się, nabierze sił i ... będzie gotowa na skok na głęboką wodę.

Pytania

Joanna usiadła na małym, suchym pniu ściętego drzewa. Wsunęła na stopy swoje ciemne, skórzane sandały. Wstała, otrzepała spodnie i ruszyła dalej przed siebie. W domu czekało na nią mnóstwo pracy. Przez jej głowę przelatywały różne myśli. Znajdowała się jeszcze wśród drzew, a jednocześnie daleko od nich. Jej stopy straciły kontakt z ziemią, a uszy przestały wsłuchiwać się w dźwięki lasu.

Słońce było już wysoko, rozświetlało korony drzew. Promienie Boga - pomyślała, patrząc jak ze złotej kuli spadają jasne wiązki światła. Przebijały się przez gałęzie, przez liście, padając na ziemię. Wzrok Joanny powędrował ku oświetlonym krzewom paproci. Rósł przy nich dorodny czerwony muchomor. To jeszcze za wcześnie na te grzyby, pomyślała, a po chwili zorientowała się, że ten widok coś jej przypomina. Nie, to niemożliwe - powiedziała na głos. To obraz, który widnieje na jej ulubionym kubku, starym glinianym kubku, którego barwione szkliwo naznaczone jest licznymi drobnymi pęknięciami, tym samym, który pamiętał jej wakacje u babci, a obecnie stanowił jedną z niewielu rodzinnych pamiątek. Joanna podeszła bliżej rozłożystych, ciemnozielonych liści paproci. Zauważyła, że w miejscu, gdzie wychodzą ich korzenie, wystaje jakiś przedmiot. Miał metaliczny połysk. Ostrożnie rozsunęła grudki ziemi. Ku jej zaskoczeniu, po chwili, trzymała w rękach duży, ciężki, mosiężny klucz. Przetarła go chusteczką. Napis na górnej, szerokiej części głosił: Anno Domini 1757. Skąd on się tu wziął? Jak to możliwe, że nie widać po nim upływu lat, żadnych oznak korozji...? Do czego służył? Jakie drzwi otwierał...? W głowie Joanny pojawiały się dziesiątki pytań. Tylko jedną rzecz wiedziała na pewno... Jeśli zadano sobie trud, by umieścić na nim tę konkretną datę, to symbolizowała coś ważnego...

Burza

Zaczęło padać. Nagle, zupełnie bez zapowiedzi. Grube krople deszczu uderzały ostro w korony drzew. Przesączały się, rozpląwały między liśćmi, czasem znikwały, a czasem zlewały się w strugi wody. Co chwilę grzmiało, raz po raz wszystko wokół rozświetlało światło błyskawic. Joanna nawet nie próbowała chronić się przed deszczem, nie miała nic do okrycia. Biegła, biegła coraz szybciej. Wiedziała, że gdy tylko dotrze do domu, zrzuci mokre ubrania i będzie mogła się ogrzać. Pomyślała o kormoranach, o ich pisklętach siedzących w gniazdach na szczytach sosen. Przemokną do cna, zziębną, będą skazane na łaskę wiatru. Będą czekać na Słońce jak na wybawcę. Może to ich pierwsza burza w życiu? Joanna dobrze pamiętała, kiedy pierwszy raz doświadczyła tak gwałtownej burzy w dzieciństwie. Była na wakacjach u babci, zbierała truskawki przy łące. W pewnym momencie zrobiło się prawie ciemno. Niebo zasnuło się gęstymi chmurami, które ściskając się jedna obok drugiej, tworzyły czarną, zwartą masę. Pamięta babcię, która przybiegła zupełnie boso, w kuchennym fartuchu. Złapała ją mocno za rękę i krzycząc: „, Szybko, szybko... Joasiu, trzeba uciekać ...” zabrała do domu.

Po chwili mała Joasia siedziała na krześle, beztrąsko machając nogami. Była jeszcze na tyle mała, że jej stopy znajdowały się kilka centymetrów nad podłogą. Patrzyła, jak babcia zapala wielką białą świecę, po czym stawia ją na kuchennym parapecie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, po chwili na jej twarz powracał uśmiech, w oczach znów malował się spokój. Wierzyła, że zapalona gromnica chroni od złego, że powstrzyma szalejący żywioł, uchroni przed piorunami i ogniem. Wiara to wielki dar, Joanna była o tym przekonana. Patrzyła

na babcie, która po rozstawieniu w każdym kącie małych świec, na wypadek przerwy w dostawie prądu, jakby nigdy nic, stawiała na nowo przy stolnicy i kończyła lepić pierogi z truskawkami.

Gdy Joanna dobiegła do domu, zauważyła, że na tarasie ktoś na nią czeka. Był to miejscowy listonosz. Co Ty tu robisz w taką pogodę? - zwróciła się do mężczyzny. Burza mnie złapała jak już do Ciebie przyjechałem. Nie mogłeś wsunąć przesyłki pod drzwi, jak zawsze? Wiesz co, nie bardzo, to chyba jakieś urzędowe pismo, do rąk własnych, z pokwitowaniem. Leszek zaczął otwierać skórzaną torbę. Joanna położyła mu dłoń na ramieniu: Chodź do środka, zrobię herbatę, ogrzejesz się, zaraz mi to dasz. Z chęcią - odparł. Po chwili na stole pojawiła się szarlotka i herbata z sokiem malinowym. Leszek wyjął dużą szarą kopertę, podał ją Joannie. Dziwnie mruknęła, imię, nazwisko, adres - wszystko się zgadza, ale... to z zagranicy... na pieczętce jest napisane Brasov, Romania. Nigdy tam nie byłam, nawet... nie znam nikogo, kto pochodzi z Rumunii. Możesz otworzyć, sprawdzić- szepnął mężczyzna, pałaszując z nieskrywaną przyjemnością drugi kawałek szarlotki. Joanna ostrożnie rozcięła przesyłkę. W środku było kilka urzędowych druków w języku angielskim i rękopis... list adresowany bezpośrednio do niej

„Droga Joasiu,

nie miałyśmy możliwości, by się spotkać. Z opowieści twojej babci, Ludwiki, wiem, że wyrosłaś na mądrą, piękną kobietę. Twoja mama zawiadomiła mnie o jej śmierci. Nie mogłam przyjechać na jej grób, zdrowie nie pozwalało mi na tak daleką podróż. Mnie i twoją babcie dzieliło 11 lat różnicy, wiedz, że bardzo ją kochałam. Jestem jej siostrą. Wiem, że myślałaś, że babcia nie miała rodzeństwa..., ale każda rodzina ma swoje sekrety. Twoja babcia w młodości zakochała się bez pamięci, zaszła w ciążę i zanim wybuchł skandal, razem z przyszłym mężem, wyjechali do Polski. Piszę, Kochana, bo jestem już u kresu wieku, nie mam dzieci, chcę przekazać w twoje ręce to, co od zawsze należało do naszej rodziny: dom na wzgórzu wraz z ruinami naszej rodowej posiadłości, niegdyś warownego zamku. Zapoznaj się proszę z całą dokumentacją. Czuję, że będziesz potrafiła przywrócić temu miejscu dawny blask. Jeśli będziesz gotowa, przyjeźdź. Z najlepszymi pozdrowieniami, Konstancja.”

Joanna oderwała oczy od listu na dźwięk odsuwanego od stołu krzesła. „- Przestało padać, dziękuję za poczęstunek”- powiedział Leszek. „Cała przyjemność po mojej stronie” - odpowiedziała. „Pobladłaś Joanno, nie będę Cię wypytywał, co tam jest napisane, ale tyle tego..., że chyba teraz musisz rzucić wszystko, żeby to porządnie przeczytać. Nie chcę przeszkadzać, pójdę już, do zobaczenia” „, Do zobaczenia” - Joanna lekko się uśmiechnęła. A w jej głowie jak echo odbijały się słowa Leszka...: „Chyba teraz musisz rzucić wszystko..., rzucić wszystko...”.

Marlena Wieland

Kobieta, istota delikatna, ale jakże silna. Patrząc na różne kultury świata, kobiety, choć tak ważne, są zazwyczaj traktowane jako dodatek do mężczyzny. Jeszcze do niedawna w Niemczech, kobiety musiały mieć zgodę od męża na podjęcie pracy czy możliwość brania kredytu, chociaż miały i prowadziły już swój własny, na przykład, salon kosmetyczny. Kobiety są siłą i mądrością narodów. Myślę, że gdyby one miały władzę w rękach, nie byłoby wojen, głodu i wielu innych problemów. Żadna nie chce wysłać swojego męża czy dziecka na wojnę. Było, nie było, dzisiejsze kobiety mają ogromne możliwości kreowania swojego życia. Chociaż wiele z nich jeszcze w to nie wierzy, to i tak wprowadzają zmiany małymi krokami. Wiele z nich w sytuacjach kryzysowych pokazuje, jaka siła w nich drzemie. Nagle z szarej myszki siedzącej w kącie i słuchającej rozkazów męża, stają się generałami dyrygującymi i wydającymi dyspozycje. Potrafią podjąć każdą pracę, żeby zarobić na dom i dzieci. Nie straszą im warunki pracy czy życia, najważniejsza jest ochrona bliskich. Potrafią nagle przeorganizować swoje życie, jeśli trzeba wyjechać daleko w świat, bez żadnych znajomości, aby tam podjąć pracę i wspierać przez to swoich bliskich. Są też kobiety, które rezygnują ze swoich świetnych pozycji w korporacjach i nie patrząc na tak zwane straty finansowe i status społeczny, decydują się na zupełnie nowe ścieżki - ścieżki duszy. Po prostu idą za głosem serca i zanurzają się w zupełnie inny świat. Chylę czoła przed wszystkimi kobietami. Chociaż zawsze uważałam, że kobiety są niezwykle silne i mądre, to dopiero od kilku lat czuję ogromną z nimi wspólnotę. Dzięki Ajurwedzie podczas spotkań online, i nie tylko, poznaję ich coraz więcej, słucham opowieści o ich drodze w dojściu do tego miejsca, gdzie są obecnie i są to opowieści niezwykle. Za to dzielenie się jestem im ogromnie wdzięczna, bowiem w każdej z tych opowieści tkwi cząstka mnie.

Zosia była żoną i mamą. Dzień po dniu chodziła tą samą drogą do pracy, wracając robiła zakupy, żeby w domu coś ugotować. Ogarniała dom, dziecko i męża. Czuła się nieszczęśliwa, chciała podróżować, rozmawiać o niczym z lekkością, będąc w gonie znajomych. A tu nic, szarość dnia i tęsknota w sercu. Myślała, że jak tylko będzie mogła, to wyjedzie stąd. Dziecko skończyło osiemnaście lat i Zosia stwierdziła, że nic jej już nie trzyma przy mężu. Spakowała walizkę i poleciała do Anglii, bez znajomości języka angielskiego, bez pieniędzy, ot tak, w celu ułożenia sobie tam życia i znalezienia pracy. Było bardzo ciężko i będąc tam, ucząc się wszystkiego od podstaw, znów czuła się rozdarta. Teraz tym, że zostawiła dziecko i tęskni za nim.

I tak w tym rozdarciu znalazła swoje zwierzę mocy, sarnę. Dzięki niej zaczęła patrzeć na swoje życie z innej perspektywy. Nie tej wiecznie tęskniącej i rozdartej kobiety, tylko osoby, która jest w drodze i idzie tam, gdzie jest jej przeznaczenie. Tak mijały kolejne lata. Dziecko już dojrzałe, zrozumiało dylematy mamy i dlatego je zostawiła. Zosia znalazła partnera, który ją kocha i szanuje. Teraz wie, że jest silna nie dlatego, że ma partnera, ale dlatego, że ma swoje zwierzę mocy, które ją prowadzi i wspiera w chwilach zwątpienia. Każdy z nas jest prowadzony, ma swojego sojusznika i wsparcie, chociaż nie wszyscy o tym wiemy. Mamy w sobie siłę i ogromne pokłady energii, trzeba ją tylko w sobie wskrzesić. I tak możemy sobie gdybać, nie zmieniając nic albo wejść w działanie i zmienić wszystko. To, co robimy, zależy od nas samych.

Zosia swoim życiem pokazała siłę kobiety i to, że historia może się powtarzać. Jej córka, dojrzała już kobieta, zaczyna tworzyć swoje życie. Zosia urodziła córkę, mając lat dziewiętnaście, jej córka urodziła pierwszą córkę, mając lat dziewiętnaście, a drugą kilka lat później. Wnuczki Zosi jedna po drugiej urodziły swoje dzieci, mając niecałe dziewiętnaście lat.

Wszystko jest jakby zaprogramowane. Ciekawe jest to, że córka Zosi zaczęła się realizować, kiedy obie córki odeszły z domu. Zrobiła prawo jazdy i zaczęła coraz bardziej rozszerzać swoje zainteresowania i możliwości. Jedna z wnuczek Zosi mieszka również w Anglii.

Małe trzypokojowe mieszkanie na obrzeżach Londynu, a w nim pięć obcych sobie lokatorów. Życie sprowadziło ich do tego obcego kraju. Każdy ma swój powód, żeby być tu gdzie jest. Opowiadają o tym niechętnie. Zosia z Michałem poznali się w agencji ofert pracy dla cudzoziemców. Ona dojrzała kobieta po przejściach, on młody dwudziestolatek. Dobrze im się rozmawiało i stwierdzili, że mogą razem szukać mieszkania. On z dobrą znajomością języka angielskiego, pomagał jej w załatwianiu formalności, ona przygotowywała częściej posiłki dla dwojga. Pewnego chłodnego wieczoru Zosia wróciła zmęczona z pracy, gdzie zajmowała się szyciem skórzanych tapicerek w uszkodzonych meblach. Usiadła na zużytej kanapie, zastanawiając się, czy ma jeszcze ochotę i energię na zrobienie sobie herbaty. Do pokoju wszedł Michał. Zosia ożywiła się i zapytała:

- Pojedziesz ze mną jutro do banku?

- Nie, nie pójdę.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. Jak to nie pójdiesz?!

- Po prostu, nie pójdę, nie mam ochoty stale tłumaczyć. Naucz się w końcu mówić po angielsku.

- Przecież zawsze ze mną chodziłeś i to nie był dla ciebie problem. - Chodziłem, ale już nie będę.

- No coś ty, proszę cię, przecież wiesz, że sama sobie nie poradzę, przecież to dla ciebie pestka, takie tłumaczenie.

- Może i pestka, ale nie pójdę z tobą, zacznij się uczyć i sama sobie radź.

- Będziesz tego żałował! Ja też tobie pomagam, kiedy czegoś potrzebujesz.

- Może będę, a może i nie, ale i tak nie pójdę z tobą do banku.

- Michał, proszę, to ostatni raz.

- Nie!

Potem rozchodzą się do swoich pokoi. Zosia wściekła, a Michał zadowolony, że ma to już za sobą. Po tym epizodzie Zosia zabrała się za naukę języka angielskiego.

Zosia z Kamila znają się od ponad 40 lat. Kiedyś, będąc jeszcze nastolatkami, spotkały się na koloniach letnich. Pochodziły z oddalonych od siebie o wiele kilometrów miejscowości, co dawniej stanowiło problem. Pomimo tej odległości czasami miały z sobą kontakt listowny lub telefoniczny. Lata mijały, kontakt się urwał. gdyż obie wyprowadziły się do innych krajów. I oto pewnego razu przyjaciółka Zosi pomyślała, żeby spróbować poszukać Zosi przez Facebooka? Jak pomyślała, tak zrobiła i oczywiście znalazła. Nawiązały ponownie kontakt i rozmawiały jakby nigdy nie było tak długiej przerwy w rozmowach. Ich życie potoczyło się zupełnie inaczej. W życiu Zosi było dużo zmian, częste przeprowadzki, zmiany pracy i partnerów. Przyjaciółka Zosi odwrotnie - od lat ten sam partner i stabilizacja życiowa. Jedna

śluchała drugiej z ogromnym zainteresowaniem i zaciekawieniem. Po tych długich telefonicznych rozmowach postanowiły się spotkać. Pewnego majowego popołudnia Zosia przyleciała do przyjaciółki, obie czuły ogromną radość z tego spotkania. Patrząc na siebie, stwierdziły, że ich włosy pomalutką zmieniają kolor, ale co tam włosy, ważne jest, aby czuć radość w sercu i moc, tak jak teraz, ze sobą być. Jednego z wieczorów przyjaciółki rozmawiały o zawirowaniach losu u Zosi, o pracy, którą ona wykonuje nocą, gdyż pracuje w domu opieki dla starszych osób, o jej porankach, kiedy to wraca do domu i kładzie się spać. Zosia nagle poprosiła, żeby przyjaciółka opowiedziała jej, jak wygląda jej poranek. Kamila spojrzała na nią zdziwiona, ale po chwili zaczęła opowiadać. - Otworzyłam oczy, uśmiechnęłam się do siebie, pomyślałam, czy może wejść jeszcze w sen, który śniłam? A nie, chyba już powitam z wdzięcznością kolejny poranek mojego życia. Uczucie wdzięczności za to, co mam, rozplywa się ciepłem po całym ciele. Kocham cały świat, witam się w myślach z moim domkiem, myślę sobie, jak chcę się dzisiaj czuć i radość rozpięra moje serce. Tulę się z radością do męża, daje mu buziaka i wstaję. Z boku słyszę kochane mruczenie, to już twój czas, tak, odpowiadam i idę do pokoju. Potem łazienka, patrzę na siebie z uśmiechem w lustrze i mówię „kocham cię Kamilko, miej piękny dzień”. Wstawiam sobie czajnik z wodą, żeby pić ciepłą o poranku i patrzę z radością na ogród. Ostatnio podziwiam szpaki, które dziobią żdźbła trawy. Rozglądając się uważnie dookoła, zbierają małą kępkę i odlatują, żeby budować swoje gniazdo. Woda wypita i jak co dzień od jakiegoś czasu o 5:55 jest poranna gimnastyka z Martą. Śmieje się ćwicząc, bo ćwiczenia przypominają mi te, które były w szkole podstawowej. Czuję wpadający przez okno powiew chłodnego powietrza, a w sercu radość, że zaczynam aktywnie dzień. Po gimnastyce przychodzi czas na medytację i wyciszenie. To piękny czas, cisza otula mnie i czuję cudowny spokój. To daje mi siłę na cały dzień.

- Wow - mówi Zosia - ale to jest piękne i wspierające. Kiedy ciebie słuchałam, to wysłałam w myślach intencję do wszechświata, że też chcę mieć takie poranki, bo dzięki tobie wierzę, że jest to możliwe. Objęły się obie z czułością i zrozumieniem.

Pisząc ten tekst, patrzę na oddalone ode mnie o kilka metrów trzy sarny. Jedna z nich podskakuje lekko, żeby poskubać świeże liście z drzewa, dwie pozostałe skubią trawę, a między nimi chodzi sobie dostojnie bażant.

Zosia uwielbia wodę, chodzi na plażę. Na brzegu plaży są skały, a w nich szczelina w którą się zanurza. Przechodząc przez nią, znajduje się w innym świecie, świecie magicznym. Schodzi szerokimi schodami pod wodę i tam spotyka się ze swoimi wodnymi przyjaciółmi. Nie lubi przebywać wśród tłumów, męczy ją to, gdyż nie jest tam magicznie, jest obco i tłoczno. Lubi piasek na plaży, jego ciepło, wie, że każde ziarenko jest inne. Jedno w kształcie iskrzącej się gwiazdy, inne w kształcie trójkąta lub rombu, każde ma swój unikalny kolor i intensywność, z jaką świeci.

Weszła do pomieszczenia, które znajdowało się w szczelinie skały. Rozejrzała się z radością. Jeszcze przed chwilą była w swoim magicznym pokoiku, pełnym ciepła i małych skarbków, które ją wspierają w dniu codziennym, ale, że jest piękna pogoda i Zosia czuje zmęczenie, postanowiła pójść do swojej ukochanej szczeliny. Rozgląda się z ciekawością, dotyka rękoma skał od wewnątrz. Są chłodne, chropowate i wilgotne, pod stopami czuje mokry piasek. Czuje się bezpiecznie, bo nikt z zewnątrz tutaj nie wejdzie. Idzie dalej i przed oczyma ukazują jej się szerokie lazurowe schody prowadzące w głąb morza. Wokół nich falują z wdziękiem wodorosty o różnych kształtach i odcieniach zieleni. Wszystko wygląda magicznie. Słyszy w oddali śpiew syren, mijają ją płynące ryby wszelkiego rodzaju. Są okrągłe z wąsami, inne płaskie umykające szybko, przestrzeń wokół niej mieni się kolorami tęczy. Kiedy kończą się

schody, wchodzi na ogromny plac, pełen kolorowych postaci. Są tam cudowne rusalki w połyskujących, powiewnych szatach, są syreny i inne postacie, których nie potrafi nazwać. Ten podwodny świat jest pełen życia i energii, energii, którą ona czerpie, przebywając tutaj. Po każdym podwodnym odwiedzinach jest jak nowo narodzona, pełna energii, optymizmu i siły, aby przeżyć kolejny dzień. Tutaj, będąc pod wodą, czując bicie serca tego wielkiego żyjącego zbiornika wody, łapie jego rytm i faluje razem z nim. Myśli się rozplývają, czuje tylko kojące kołysanie. W oddali, za ogromnym placem, czeka na nią, przed jej magicznym zrobionym z wodorostów i muszli domku, jej przyjaciółka, syrena. Macha do niej z oddali. Zaraz spędzą razem cudowne godziny, które są realne tylko dla ludzi na Ziemi. Tutaj czas ich nie dotyczy, czas to pojęcie względne.

Zosia lubi wycieczki rowerowe. Jej codziennym rytuałem od wczesnej wiosny do późnej jesieni są wycieczki rowerowe. Jak tylko się wyśpi po nocnej zmianie, wsiada na swój oryginalny pomarańczowy rower i rusza w trasę. Rower jest już stary, ale czuje do niego sentyment. Dostała go od pewnej starszej pani, która była jej sąsiadką i pomagała jej w ćwiczeniu języka angielskiego.

Starszej pani już nie ma, ale rower pozostał. Czasami jest to jazda tylko dla przyjemności po utartych szlakach, a czasami podróż w nieznaną. Uwielbia, kiedy wiatr targa jej włosy, a słońce grzeje policzki. Ma to szczęście, że mieszka blisko morza. Jadąc, czuje cudowne, czyste i pełne morskiej bryzy powietrze. Te wycieczki tak samo jak jej tajemnicze spacerów w głąb skały nad morzem, są dla niej odskocznią od szarej rzeczywistości. Jadąc rozgląda się i z radością odkrywa nowe miejsca, nowe rośliny i nowe osoby podczas postojów. Zosia jest bardzo towarzyska i szybko znajduje osoby, które chcą po prostu porozmawiać. Dzięki tym przejażdżkom rowerowym ma wrażenie oczyszczenia umysłu ze wszystkiego, co jej nie służy i do tego poczucie, że robi coś dobrego dla swojego ciała. Kiedy wraca do domu, jest zrelaksowana i gotowa na nowe wyzwania. Jej kolejnym rytuałem jest ozdobne kropkowanie, na przykład skórzanych podstawek pod szklanki lub kalendarzy. Najpierw w skupieniu rysuje schemat, potem robi kółka w równych odstępach, następnie od środka rysuje promieniste kreski i później te okręgi kropkuje kolorowymi farbami. Małe kropki wymagają ogromnej koncentracji i spokoju. Dzięki temu rytuałowi Zosia zapomina o wszystkim, jest w tu i teraz, nic innego nie istnieje. To cudowne chwile oderwania się od rzeczywistości.

Jej drugą pasją jest fotografia. Kilka lat temu kupiła sobie profesjonalny aparat z teleskopowym obiektywem. Jest z nią wszędzie, bo a nuż trafi się okazja, żeby coś interesującego uwiecznić na kliszy. Często z okna swojego pokoju, a mieszka na wzgórzu, robi cudowne zdjęcia plaży o różnych porach dnia. Szczególnie lubi te o wschodzie i zachodzie słońca, kiedy to pokazuje się niesamowita, czarodziejska gama kolorów nad spokojnym albo wzburzonym morzem. Zawsze jest inaczej. Fotografuje też księżyc z jego tajemniczymi szarościami na srebrnym tle. Sprawia jej to ogromną radość. Oczywiście jest też cała masa innych zdjęć z jej kolejnych podróży. Ma talent do tego i nie tylko. Zosia również operuje sprawnie szydełkiem, potrafi zrobić cudowne zawieszki - łapacze snów. Jedna wisi u mnie nad łóżkiem i odstrasza złe sny. Ta dziewczyna ma wiele talentów. Swoimi pasjami zabija poczucie samotności i odłączenia od najbliższych.

Otworzyłam oczy, mrugam i zastanawiam się, gdzie jestem. Przed chwilą byłam w moim morskim świecie, odczucia były tak bardzo realne, że aż sprawdzam, czy nie ma wokół mnie moich podwodnych przyjaciół. Nie, leżę na łóżku, w moim malutkim pokoju, w mieszkaniu na

trzecim piętrze i jeszcze zaspana przyglądam się moim skarbowi, które tu zgromadziłam. W lewym rogu w kącie pokoju stoi dzban z zasuszonymi pawimi piórami, które oświetla poranne słońce. Ich delikatny cień układa się w nieregularne floresy na ścianie w bladoróżowym kolorze. Kawałek dalej stoi małe drewniane biurko, jest już bardzo stare, widać na nim odbicia poprzednich właścicieli, jakiś napis, jakaś plama, jakieś zadrapanie. Uwielbiam przy nim siadać i pisać. Chociaż czasami zastanawiam się, po co? Przecież tego i tak poza mną nikt nie przeczyta. Na biurku stoi moja czarodziejska turkusowa szkatułka. Jest oklejona różnymi muszelkami w odcieniach różu, błękitu i perłowej bieli. W blasku słońca mieni się o poranku różnymi odcieniami zieleni, a nocą otula ją srebrnoperłowy blask księżyca. Zawsze wygląda magicznie i mam wrażenie, że wystarczy uchylić jej wieczka, aby przenieść się do turkusowej podwodnej krainy. Obojętnie gdzie padnie mój wzrok, wszędzie mam czarodziejskie drobiazgi, które przypominają mi, że w każdej chwili mogę się przenieść do innej przestrzeni. Na parapecie stoją storczyki w doniczkach. Lubię patrzeć na ich delikatne kolorowe płatki. Pomiędzy nimi stoi moja ukochana sarna, moje zwierzę mocy. To jest moje małe królestwo. Słyszę klucz delikatnie przekręcany w zamku drzwi wejściowych. To John. Czasami przychodzi o poranku, żebyśmy mogli wypić razem pierwszą kawę. Niby jesteśmy razem, ale jak bardzo osobno. Wkładam miły uśmiech na twarz, i mówię „hej”. Patrzę na niego uważnie i sprawdzam, w jakim jest nastroju. Rozpoznaję to po jego błękitnych oczach. Dziś są lekko zachmurzone, czyli coś go męczy, będzie chciał mi coś powiedzieć. Ciekawe, czy to ma związek z jego dorosłymi już dziećmi? Patrzę na niego i myślę, że czuję się już zmęczona tym związkiem. Lata mijają i nic się nie zmienia, nadal mieszkamy osobno a on mi tłumaczy, że nie może być oficjalnie ze mną, bo jego dzieci mnie nie zaakceptują i nie będzie mógł spotykać się z wnukami. Co za bzdura! Ale ja nadal biorę udział w tej farsie. Uśmiechamy się, patrząc na siebie. John pyta, jak się czuję. - Dobrze - odpowiadam i pytam, co będziemy robić w kolejny weekend. - Jeszcze nie wiem, czy będę wolny, całkiem możliwe, że będę musiał pomóc synowi skosić trawę w ogrodzie. Patrzę zdziwiona. Przecież ten weekend mieliśmy spędzić razem. - Tak, wiem, że ci to obiecałem, ale sama rozumiesz, nie odmówię synowi, bo się znowu obrazi. - Przecież twój syn jest dorosły - odpowiadam - i chyba potrafi zrozumieć, że jego ojciec ma swoje życie, może mieć nową partnerkę i jakieś plany z nią związane? John patrzy niepewnie, wygląda jak dziecko złapano na kłamstwie. No tak, ale zrozumiem, to nie jest takie proste. Patrzę na niego z rozgoryczeniem i odpowiadam - Ale mogłoby być, gdybyś tego naprawdę chciał.

Wieczorem miała w zwyczaju chodzić na spacer. Wprawdzie było to tylko możliwe w dni, kiedy miała wolne w pracy lub urlop, dlatego najczęściej brała nocne dyżury. Uwielbiała wtedy przechodzić się opustoszałymi uliczkami w kierunku morza. Już z oddali było słychać szum fal rozbijających się o nadbrzeże. Jest wtedy magicznie. Wiatr chłodzi jej policzki i czuje w tych momentach, że oddycha pełną piersią. Kiedy chodzi do pracy, jej wczesnowieczornym rytuałem jest wypicie kubka ciepłej herbaty i przeczytanie fragmentu książki. Bardzo lubi czytać i te momenty są dla niej ważne. Czytając, przenosi się w inny świat. Tam są radości i problemy innych osób, a ona się temu przygląda. Jest w tym zatopiona i nie czuje oddalenia od domu, który jest tam, gdzie jej córka. Kiedy jest na urlopie, często w innym miejscu, uwielbia wieczorami odkrywać nowe ścieżki i się w nich gubić, nie myśląc, ile czasu upłynęło. Na wakacjach jest tylko przyjemność z poznawania nowych miejsc i ludzi. To przyzwyczajenie do spacerów zostało jej z czasów dzieciństwa, kiedy to z ukochanym tatą szła odkrywać nowe ścieżki, zasłuchana w jego zabawne opowieści o życiu. Był cudownym ojcem, który potrafił ją zawsze rozśmiażyć i znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Był dla niej podporą. Spacerując wieczorami nadal jest jakby w zatrzymanym kadrze z dzieciństwa.

Kolejny raz zaczęła się wiosna, kolejna, kiedy jestem na obczyźnie. Zmieniam się, dojrzewam i moje ciało pokazuje mi, że nie mam już dwudziestu lat. Siadam na moim ulubionym miękkim fotelu i patrzę z rozmarzeniem w błękitne niebo bez żadnej chmurki. Drzewa okryły się soczystą zielenią, ptaki ćwierkają intensywnie od świtu. Cały świat jakby budził się do życia. A ja, czy ja się budzę, czy tylko przemykam w półśnie przez moje życie? Ostatnio zauważam zmiany w moim ciele, ale też zmiany w moim zachowaniu. Nie mam już tyle cierpliwości co dawniej, częściej wybucham, słowa wylatują z ust jak pociski z pistoletu, czuję gorąco w ciele. I nagle to wszystko znika, ciało się uspokajam, słowa zamierają. Co to było? Czy to naprawdę ja, ta cicha, spokojna Zosia, która potrafi wszystkich wysłuchać i pocieszyć? A może to menopauza puka do moich drzwi i powoduje zmiany nastrojów, sprawia, że zupełnie inaczej reaguje na wydarzające się sytuacje. Cisza, kocham ciszę, wtedy mogę usłyszeć siebie. Tak rzadko to robię, zazwyczaj jestem nastawiona na innych, na ich potrzeby i odczucia. Patrząc w błękitne niebo, postanawiam zaprzyjaźnić się z moim ciałem, tak powolutku, delikatnie zacząć zwracać uwagę na jego potrzeby. Zacząć świadomie kochać siebie. Potrzeba będzie wprowadzić zmiany, ale małymi krokami. To się na pewno uda. W oddali widzę szybującego po niebie sokoła. To ptak mocy. Skoro mi się pokazał, to znaczy, że ja mam tę moc do zmian i zacznę je wprowadzać. Teraz jest czas dla mnie. Jestem kobietą dojrzałą i świadomą siebie. Już czas, żeby inni to dostrzegli. Kolejną wiosnę przywitam ze zmianami, które się we mnie zadzieją.

Pomyślała o przyszłości, spojrzała z tęsknotą w stronę okna. Błękitne niebo bez chmur zapraszało, by po nim szybować. A gdybym tak umiała fruwać? - pomyślała. Poleciałabym daleko od tego miejsca, w którym teraz tkwię. Mogłabym poszybować nad morzem, nad innym krajami, górami i przestrzeniami, których nigdy nie poznam, siedząc tutaj. Jestem, ale czy na pewno? Każda cząstka mnie chce się stąd wyrwać, tęsknota mnie zżera, ale nie mogę przecież stąd odejść, tak nagle, teraz w tej chwili. O, znowu znajomy sokół szybuje niedaleko mnie po błękitnym niebie. Wiem, zrobię sobie plan - cel i go zrealizuję. Krok po kroku będę się przygotowywać do nowego życia. Znajdę partnera, który nie będzie drugą połówką, bo to jest bzdura, którą nam wciskają do głów, będzie całością, tak jak ja. Zamieszkamy w małym domku nad morzem i będziemy podróżować. Uwielbiam podróże i związę się tylko z takim człowiekiem, który będzie mi w nich towarzyszył. Wystarczy, że będziemy się rozumieć i korzystać z życia, które tak szybko upływa. Nie dam się już zamknąć w schematach i oczekiwaniach innych ludzi. Chcę żyć na swoich warunkach, realizować swoje marzenia, a wieczorami, siedząc przy kominku lub na tarasie, wspominać miniony dzień. Tak z radością w sercu bez wyrzutów sumienia, że czegoś dla kogoś nie zrobiłam. Lubię pływać i mój dom będzie miał mały basen, żebym mogła o poranku w nim pływać i podziwiać naturę budzącą się do życia. Tak będzie, to jest moja intencja i ona się spełni. Wczoraj miałam sen, śniła mi się moja ukochana babcia, która mnie błogosławiła i powiedziała, że szczęście leży w zasięgu twojego wzroku.

Leżę na łóżku z otwartymi oczami. Jest piękny poranek, słońce zagląda w moje okno, otulając pokój ciepłymi promieniami. Niedawno wróciłam z nocnej zmiany, wzięłam poranny prysznic, żeby zmyć z siebie trudy tej nocy. Wypiłam herbatę i wskoczyłam do łóżka z nadzieją, że szybko zasnę. Sen nie nadchodzi i nagle myśl, ulotna jak mgnienie. Zastygam na moment ... i już wiem. To było wspomnienie mojego pierwszego zatrzymania w ciele, mojego zastygnięcia. To było dawno, pierwsza zdrada mojego męża, zabolalo. Kiedy się o tym dowiedziałam, oczywiście przez przypadek, coś we mnie pękło, zaczęłam się oddalać od czucia

siebie. Jak ostryga zamknęłam się w sobie, musiałam się chronić. Od tego dnia koncentrowałam się na potrzebach innych, żeby nie pytać siebie, co czuję? To był mój sposób na przetrwanie. Była mała córeczka, która potrzebowała obojga rodziców i cała rodzina, która uważała, że mam cudownego męża. Na zewnątrz wszystko wygląda pięknie, jakże czysto oceniamy innych po ich wyglądzie, a nie mamy pojęcia, co dzieje się w środku. A tam często smutek i brak nadziei się chowa. Tak, to był ten pierwszy raz. Potem było już tylko gorzej. Jednak zawsze było coś, co mnie wspierało. Mój nieżyjący już tata. Zostały mi w pamięci jego przysłowia i anegdoty, które miał na każdą okazję, zawsze trafione w punkt. I tak w tych złych i dobrych momentach mojego życia słyszałam głos taty trafnie komentujący daną sytuację. To pomagało, nie czułam się tak bardzo bezsilna i samotna. Czuję zmęczenie, zamykam oczy, jest we mnie akceptacja tego, co się wydarzyło. Znowu jestem przy sobie, czuję moje lekko rozedrgane ciało, które się uspokaja. Teraz już na pewno zasnę .

Był wczesny poranek, Zosia obudziła się i przeciągnęła z radością. Dziś mam dzień wolny od pracy. To będzie dzień samych przyjemności, zadbam o siebie. Zerknęła w stronę okna. Błękitne niebo z płynącymi leniwie chmurami zachęcało do wyjścia na zewnątrz. Po niecałej godzinie siedziała już w swoim czerwonym samochodzie, wzięła ze sobą torebkę i aparat fotograficzny. Wybrała się do oddalonego od niej o niecałe pięćdziesiąt kilometrów miasteczka. Usłyszała o nim kilka dni wcześniej od swojej koleżanki, która opowiadała, że w miasteczku tym czas płynie jakby wolniej, są tam małe uliczki i dużo zieleni. Kiedy to usłyszała poczuła, że chce tam koniecznie pojechać na spacer. Gdy dotarła na miejsce, zobaczyła stare mury w kolorze piasku, które jakby okalały miasto. Domy były nieduże z pootwieranymi okiennicami, a ulice udekorowane kolorowymi kwiatami. Pomiędzy starymi lipami kwitły piwonie, pochylające swe ciężkie kwiaty ku ziemi. Były pasma niebieskich chabrów przeplatające się z czerwonymi makami. Było cicho i kolorowo. Zostawiła samochód przed małą kawiarenką i ruszyła na spacer. W pierwszej chwili pomyślała, że fajnie by było być tutaj z kimś, ale zaraz odrzuciła tę myśl. Dzięki temu, że jestem tu sama, mogę wsłuchać się w siebie, już dawno tego nie robiłam. Patrząc i fotografując cudowne rabaty kwiatów, których nawet nie potrafiła nazwać, wróciła myślami do czasów dzieciństwa, kiedy to tata oprowadzał ją po obcych miastach i opowiadał swoje anegdoty. Czuła się wtedy bezpiecznie. Kiedy tak ostatnio się czuła? Nie pamięta. Będąc z mężem czy kolejnymi partnerami, zawsze czuła zagrożenie, niepewność. To nie było nic konkretnego, tylko w ciele czuła jakieś dziwne napięcie. Jak tu jest cudownie, pomyślała. Zanurzając się w kolejną uliczkę, podziwiała małe domki. Poczowała tęsknotę za takim domem, w którym są kochający się i potrafiący z sobą rozmawiać. Jej dom jest teraz miejscem dla obcych. Czy są tam szczęśliwi? Rozmyślając, trafiła na maleńką kawiarnię z dużym ogrodem, gdzie kwitły same róże. Wyglądały bajkowo. Delikatne płatki w kolorach różu, czerwieni, pomarańczy i bieli kierowały swe dumne główki w stronę słońca, jakby mówiły: Patrz, jakie jesteśmy piękne. No i ten oszałamiający zapach, którego z niczym nie da się porównać. Usiadła przy stoliku ustawionym na trawie, zdjęła buty, poczuła miękkość trawy pod stopami i zamówiła różaną herbatę. Po chwili stał przed nią szklany dzbanuszek, a w nim miękko leżały główki maleńkich, różowych róż. Kiedy wzięła pierwszy łyk z delikatnej szklanej filiżanki, poczuła się bezpiecznie, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy była ze swoim tatą. Jej ciało rozluźniło się i pomyślała: - Dotarłam do domu, do siebie. Patrząc na leniwie płynące obłoki, na soczystą zieleni i cudowne kwiaty wokół siebie, poczuła, że coś się zmieniło. Nie potrafiła jeszcze tego ująć w słowa, ale była pewna, że po tym spacerze będzie inaczej. Z radością dopiła herbatę i obiecała sobie, że tu wróci.

Stara szkatułka na biżuterię, która znajdowała się dawno temu w domu babci, stała teraz u niej w pokoju. Jak bardzo lubiła ją brać na kolana i przeglądać leżącą w niej biżuterię babci. Nie było tego dużo, ale dla Zosi były to prawdziwe skarby. Nakładała wszystko na raz lub osobno i wyobrażała sobie, że jest już dorosła i odwiedza znajomych. Ma na sobie piękną suknię w duże kolorowe kwiaty z naturalnego jedwabiu i jako ozdobę zawieszony na szyi delikatny złoty łańcuszek z przyczepionym delfinem, który wyglądał jakby chciał się zanurzyć w te błękitno zielone kwiaty na jej sukni. Dziś szkatułka jest odnowiona. Zosia pokryła drewno delikatną skórą, którą uszyła szkatułce na miarę i nakropkowała na niej piękne kolorowe wzory w kształcie kwiatów. Patrzy na nią i wraca myślami do tych szczęśliwych chwil z babcią, kiedy to z beztroską i uważnością słuchała jej opowieści z czasów młodości. Babci już dawno nie ma, ale został delfin na złotym łańcuszku i czarodziejska szkatułka, która przenosi ją jak magiczna różdżka do czasów dzieciństwa. Jak niewiele potrzeba, by poczuć się szczęśliwym.

Niewielka, może pięciocentymetrowa, pięknie wyrzeźbiona postać anioła z kwarcu różowego, od kiedy pamięta jest przy niej. Mieni się kilkoma odcieniami różu w zależności od tego, jak pada na nią światło. Ma w sobie moc. Zosia pamięta momenty ze swojego życia, kiedy się bała. Wtedy brała figurkę do ręki i już sam dotyk tego delikatnego kamienia rozgrzewał jej dłoń, ogarniało ją ciepło i spokój. Czuła się jakby ktoś otulał ją delikatnie niewidzialną powłoką, która oddzielała ją od rzeczywistości. Tak, ta delikatna figurka ma w sobie moc. Wieczorem, siedząc w wygodnym fotelu z kubkiem zaparzonego rumianku, zanurzyła się we wspomnienia z czasów dzieciństwa. Przypomniała sobie, kiedy pierwszy raz zwróciła uwagę na wyrzeźbionego anioła. Stał na oknie w sypialni rodziców. Na początku bała się go dotknąć, bo wydawał jej się bardzo kruchy i bała się, że może go potłuc. Tak było pewnego zimowego popołudnia, kiedy przyszła do mamy i powiedziała, że stała się kobietą, bo dostała swoją pierwszą miesiączkę. Mama popatrzyła na nią z czułością, pogłaskała delikatnie po policzku, wstała z fotela i poszła w kierunku sypialni. Po chwili wróciła z różowym aniołem i podała go Zosi, mówiąc: - Teraz on będzie ciebie chronił, miej go zawsze przy sobie. Zosia wzruszona wzięła delikatnie figurkę z rąk mamy. Anioł towarzyszy jej już prawie pięćdziesiąt lat.

Zaczęła się zastanawiać, czy lubi swoje towarzystwo? Szła akurat brzegiem morza i to pytanie spadło na nią tak nagle, że aż się zatrzymała. Miała poczucie, że coś w niej, w samym środku, domaga się odpowiedzi na to proste pytanie. Popatrzyła w dal. Na horyzoncie pojawiła się sylwetka statku. Pomyślała, że jeszcze jakiś czas temu była od siebie tak oddalona jak linia brzegowa i horyzont, więc jak tu odpowiedzieć sobie na takie pytanie. W pędzie mijających dni, które upływały zbyt szybko, nie zwracała uwagi na to, czy lubi swoje towarzystwo. Patrzyła na fale, które delikatnie obmywały jej stopy i stwierdziła, że tak. Mimo wszystko, obojętnie co wydarzało się w jej życiu, lubiła być sama z sobą. Lubiła chodzić sama na spacer, lubiła podróże, które odbywała w pojedynkę i to jej nie przeszkadzało. Nie musiała zagłuszać ciszy, która była wokół niej, przyjmowała ją całą sobą. Zawsze potrafiła się czymś zająć, nie licząc na towarzystwo innych osób. Zaczęła iść dalej z uśmiechem na twarzy.

Pewnego poranka Zosia obudziła się i pomyślała, że coś się zmieniło u niej w środku. Zaczęła się zastanawiać i przypomniała sobie, o czym śniła tej nocy. Była w swoim rodzinnym domu w Polsce. Szukała czegoś pełna niepokoju, bo nie wiedziała, czego szuka. Nagle do pokoju, w którym się znajdowała, weszła jej ukochana babcia. - Czego szukasz, kochana? - spytała. Zosia popatrzyła na nią zdenerwowana. - Nie wiem babciu - odpowiedziała. Babcia popatrzyła na nią uważnie swoim kochającym i wszystko wiedzającym wzrokiem i powiedziała: - Dziecko, ty siebie szukasz. Zosia zastygła i popatrzyła na babcie, nie rozumiejąc, co ta chce jej przez to powiedzieć. Zagubiłaś się kompletnie, odeszłaś od siebie, swoich marzeń i celów. Żyjesz, ale czy jesteś szczęśliwa? Czy robisz to, na co naprawdę masz ochotę? W tym momencie Zosia się przebudziła, ale dotarło do niej, co jest inaczej. Poczuła, że związek z Johnem właśnie się dla niej skończył, dzięki pytaniu babci, czy jest szczęśliwa. Otóż nie, nie jest. Tkwi od kilku lat w związku bez przyszłości, a nie ma już dwudziestu lat i jeśli chce coś zmienić, to musi wykonać pierwszy krok. Rozmowa z Johnem wcale nie była trudna. Brakowało między nimi miłości, nie było tej iskry, którą chciałoby się jeszcze rozpalić. Doszli do wniosku, że zostaną przyjaciółmi. Zosia poczuła się wolna. Wstawiła swoje zdjęcie na portalu randkowym i czekała. Zainteresowanych mężczyzn było sporo, ale przy jednym Zosia zatrzymała się na dłużej. Coś ją poruszyło w jego wiadomości mailowej. Zaczęli ze sobą pisać, najpierw rzadziej, później coraz częściej i intensywniej. Po kilku miesiącach oboje stwierdzili, że chcą się spotkać. Kiedy ustalali miejsce spotkania, okazało się, że mieszkają na tej samej ulicy, oddaleni od siebie zaledwie o kilkaset metrów. Jak to jest możliwe, że do tej pory nigdy się na siebie nie natknęli? Spotkali się po raz pierwszy w małej nadmorskiej restauracji. Kiedy zaczęli z sobą rozmawiać, wiedzieli, że to dopiero cudowny początek ich znajomości. Kilka miesięcy później Zosia przeprowadziła się do Roberta. Jest im ze sobą dobrze. Zosia wróciła do siebie, czuje, że żyje i jest szczęśliwa. Nie musi udawać kogoś, kim nie jest. Robert daje jej oparcie i ciepło, którego tak bardzo jej brakowało. Przy nim jest pewna, że jest dla niego ważna. W myślach często dziękuje babci za to, że ją obudziła do życia swoimi pytaniami.